Numer gwiazdkowy.



Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW IV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom [illegible]).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. **Kraków, 24 grudnia 1921.** **Nr. 52.**

Gdy się Chrystus rodzi...



GDY SIĘ CHRYSTUS RODZI...

Już słowo ciałem się stało,
Narodził się król nad króle,
By wziąć koronę cierniową,
Odkupić ludzkość przez bóle.

* * *

Witaj Jezu na tej ziemi,
Co przesiąkła krwią swych dzieci,
Spuść swej łaski na nią promień,
Niech jej gwiazda Twa zaświeci.

Weź pod Twoją ją opiekę
W strasznej świata zawierusze,
Użyźń serca jej ugory,
Skróć jej męki i katusze.

Niech Twe ucho litościwe
Najgorętszych próśb wysłucha:
Kiedyś rozkuł więzy ciała,
Rozkuj jeszcze więzy ducha.

Wypleń chwasty samolubstwa,
Ziarno prawdy rzuć na rolę;
Przy warsztacie wspólnej pracy.
Daj nam Panie, dobrą wolę.

Dzielnicowe rozprósz waśni,
Jedność uczyń ideałem,
Niech się stanie nasza Polska
Jednolitem nawskróś ciałem.

* *

Syn Boży zstąpił na ziemię,
Piekielne truchleją moce,
On dobra głosi zwycięstwo
I zła potęgę zdruzgoce.

K. B.



Od Redakcyi.

Wszystkim naszym P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom zasyłamy serdeczne życzenia „Wesołych Świąt“!



OD WYDAWNICTWA.

Z końcem roku 1921 kończy się także i *ośmnasty* rok naszego wydawnictwa. Rok ten był dla nas nad wyraz ciężki, cięższy może nawet i od czasów, gdy w naszem bezpośredniem sąsiedztwie szalała burza wojenna. Fatalne stosunki ekonomiczne i obniżenie wartości marki polskiej sprowadziły szaloną drożyznę, przedewszystkiem zaś artykułów, które nabywać się musi za granicą, gdyż nasz przemysł ich nie dostarcza. Do nich należą wszelkiego rodzaju utensilia, potrzebne przy wydawaniu pisma tego rodzaju, jak *Nowości Illustrowano.* Papier, farba drukarska, chemikalia i td. drożały prawie z dnia na dzień, należało się uważać szczęśliwym, jeśli udało się je nabyć na wagę złota u dostawców, regulujących ceny wedle swego widzimisię. Wynagrodzenia i płace personalu rosły też w miarę drożyzny, co razem z poprzedniem wziąwszy, spowodować musiało kilkakrotne podwyższenie cen za nasze pismo. Postępowaliśmy w tym kierunku bardzo oględnie, decydując się na zwyżkę prenumeraty w ostatecznej chwili, gdy nie było już innego wyjścia. Jako pismo bezpartyjne, nie posiadające jakichkolwiek subwencyi, ponadto pozbawieni prawie w zupełności ogłoszeń, uważanych w obecnych czasach przez naszych Kupców i Przemysłowców za „niepotrzebny wydatek“, zmuszeni byliśmy wzmagające się coraz bardziej wydatki pokrywać podnoszeniem cen abonamentu, w stosunku do innych wydawnictw bardzo umiarkowanem.

Trudności mnożyły się z dniem każdym, nie zapominaliśmy jednak nigdy o tem, że celem naszym, któremu wierni jesteśmy lat ośmnaście i pozostaniemy takimiż, dałby Bóg, jak najdłużej, jest służenie ogólnemu dobru przez dawanie Czytelnikom pożytecznej i przyjemnej lektury, illustrującej w krótkości najaktualniejsze wydarzenia bieżącej chwili. Zadaniu temu, jak nam się wydaje, odpowiedzieliśmy godnie, a jeśli tu i ówdzie napotykało się na jakoweś usterki, były one wynikiem obecnych nienormalnych stosunków, a nie naszej winy.

Obok materyału aktualnego był przedmiotem naszej troski i będzie nim i nadal odpowiedni dobór utworów literatury pięknej, zatem powieści, tak oryginalnych, jak tłómaczonych. Z pośród naszych staramy się przedewszystkiem popierać talenty młode, rokujące na przyszłość piękne nadzieje, co niewątpliwie poczytanem nam być powinno również za zasługę. Ułatwiając im wejście w świat, dajemy ogółowi Czytających sposobność zapoznania się z nimi, a nie należy zapominać, że i najjaśniejsze gwiazdy słabym początkowo tylko żarzyły się płomykiem.

W ciężkiej naszej pracy wydawniczej, w takich warunkach, jak obecne, otuchy i zachęty dodawało nam zawsze uznanie ze strony naszych P. T. Czytelników, z jakiem spotykaliśmy się na każdym kroku, a na które, przyznać się musimy szczerze, uczciwie i rzetelnie staraliśmy się zasłużyć.

Oto nasze sprawozdanie z działalności za rok ośmnasty naszego wydawnictwa, a zarazem program na następne lata.

Wydawnictwo
„Nowości Illustrowanych“.

W wigilijny wieczór...



Stało się z biegiem czasu tak, że uczuciom polskiego serca ze wszystkich świąt najdroższe są Święta Bożego Narodzenia. W nich to bowiem znalazł przedewszystkiem znamienny wyraz kult dla Najświętszej Panienki — Matki Boga, w tem święcie odnalazł naród polski odzwierciedlenie najtkliwszych uczuć macierzyńskich i rodzinnych, przez to głównie święto, przez ten biedny żłóbek i złożonego w n m Zbawiciela czuł się jak

gdyby bliższy Bogu, jego nad sobą opieki, przyrównując — zwłaszcza podczas długiej niewoli —



Odbudowa Wawela: Fragment podwórza arkadowego królewskiego Zamku

niedolę własną z niedolą i biedotą Syna Bożego...

To też dzień Wigilii jednoczył długie wieki dusze polskie nie tylko w rodzinie, ale także pod względem narodowym. Pod wieczór wigilijny gasły wszelkie rozterki duchowe, tajały serca, nikły wzajemne urazy, niechęci... Łamiąc się opłatkiem, składano sobie najlepsze i najszczersze życzenia... Gromadka osób, zasiadająca do wieczerzy — przedtem może nieraz rozstrojona i rozpierzchła — czuła się zespoloną i zjednoczoną, owianą wspólnem, rodzinnem ciepłem...

A wystarczy znowu przejść życie polskich wygnańców na obczyźnie, wystarczy popytać rodaków, po zamorskich mieszkających krajach, czem dla nich był dzień Wielkiej Tajemnicy? aby zrozumieć, jak w to święto budzi się nawet w najobojętniejszych, najmniej narodowo uświadomionych duszach, męskie poczucie przynależności do narodu, który dużo przeszedł, dużo przecierpiał, był wielkim i wielkim nadal pozostać musi...

Niewola minęła! Pełne lat trzy używamy wolności, tej wolności, o którą każde pokolenie walczyło z bronią w ręku, o której śniły pieśni poetów, w którą wierzyli Prorocy nasi. W zgoła innych warunkach weźmiemy opłatek do ręki... Popłyną życzenia, poczną się przypominania minionego roku, dawnych czasów... zapowiedzi, postanowienia na przyszłość...

Dajże Boże spełnienie tym wszystkim życzeniom i zamiarom... Poczęte w miłości i odruchu serca, niech miłość pomnożą i serca zapalą... Nadewszystko zaś niech będą objawem wspólnoty rodzinnej i wielkiej jedności narodowej. To bowiem są dwa główne fundamenta, na których może budować swoją przyszłość społeczeństwo i cały naród!...



Odbudowa Wawelu: Nowa brama wjazdowa od strony północnej, ozdobiona herbami ziem polskich

Są pesymiści, którzy z lękiem i bojaźnią patrzą na naszą Wolność, z trwogą spoglądając ku Przyszłości... Widzą nas jeszcze za słabych do udźwigania tego najsłodszego ciężaru, jakim jest: Niepodległość... Ich patryotyczne serca są obawą napełnione z powodu naszych własnych poczynań przez ubiegłe trzy lata... Widzą nas idących błędnymi i chwiejnymi kroki, zataczających się i staczających ku ziemi...

Pesymizmowi nie poddawajmy się! Gdy Chrystus po trzech dniach śmierci przywołał Łazarza do życia, Łazarz sam jeszcze chodzić nie mógł, ciało jego było słabe, siły omdlałe... Chwiał się i zataczał, aż wreszcie zdrowa krew obiegła organizm, pulsy żywem zabiły tętnem...

Jest wiele znaków, że idzie w narodzie naszym ku lepszemu. Zwolna zyskujemy stałe granice, prastara dzielnica Polski — Śląsk — bodaj w części wraca wraz z bohaterskim ludem do pnia macierzystego, na wschodzie jeden z najgroźniejszych naszych wrogów pławi się we krwi, przez jej upływ słabnie i w konwulsye wpada — wewnątrz z ruiny ekonomicznej podnosimy się pomału, ale stopniowo i stale, w wielu gałęziach publicznego życia widoczny coraz większy ład i widoczna celowość — pomału zdrowa krew pocznie obiegać główne tętnice państwowego organizmu...

Ale tą zdrową krwią, tem zabezpieczeniem istotnego życia i zdrowia państwa — to my sami, to dom nasz, to społeczeństwo nasze... I tu podzielić istotnie przychodzi troskę wielu myślicieli naszych...

* * *

Podwaliny rodzinne poderwały się... Wspólnota krwi i kości uważaną bywa za rzecz małej wagi, właściwość zupełnie przypadkową i podrzędną... Wspólnota myśli, uczuć, ideałów coraz rzadsza, coraz mniej widoczna... Po duszach rozsiadł się egoizm, sobkowstwo. Dążeniem jednostek — każdej z osobna, na własną rękę — chęć użycia bieżącego życia; łączą się dziś mózgi — nie serca, interes — nie ideały... Patrząc na wyzwoloną Ojczyznę, jako na sensacyjną nowość, zrywa się z przeszłością i tradycyami, niszczy, depce i lekceważy, co dał miniony czas, nie dba zupełnie o to, co wstawi się w próżnię i co przekaże przyszłości...

Urwała się nić kultury, kultury przedewszystkiem duchowej... Zapanowało chamstwo duszy, wyciskające swe straszliwe piętna na ludzkich słowach, nawet na ich wymawianiu, na ludzkich gestach, ruchach, powiedzeniach, odnoszeniu się do drugich, słowem na całem zachowaniu się, myśleniu — życiu!!... Zaginął wdzięk człowieka! Zaginęła pogoda duszy, łagodność mowy ludzkiej, jasność oblicza ludzkiego!!!

Jakżeż ludzie obok siebie istnieć będą mogli, jakżeż pracować i działać społem, jeśli przez to chamstwo duszy nadwerężona całość rodzin i jednostek sobie najbliższych? Jakżeż mówić o płomieniu serc ogarniającym naród cały, jeśli na ołtarzach domowych popiół i zimny węgiel, a pustka przejmująca nie łączy lecz odpycha wzajemnie?!

Czy pod wigilijny wieczór zdołają serca z powrotem zapłonąć?



Odbudowa Wawelu: Fragment podwórza arkadowego królewskiego Zamku.



Po uchwaleniu daniny państwowej: Prezydent gabinetu, Antoni Ponikowski.

i całością rodzin naszych, puklerzem i tarczą ochronną narodowego bytu naszego, i że złączymy uczucia nasze w jeden łańcuch z uczuciami praojców naszych, śpiewając przy żłóbku kolędę poety:

Podnieś rękę Boże dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę Swą siłą,
Dom nasz i majętność całą
I Twoje włoski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami..

b—i.



Odbudowa Wawelu: Sypialnia króla Zygmunta Starego.

Z rodzin składa się społeczeństwo, społeczeństwo znów tworzy naród... I nie będzie naród zdrowy, jeśli społeczeństwo chore i nie będzie naród mocny, jeśli społeczeństwo słabe, rodziny nie powiązane nićmi wzajemnej miłości, nie oplecione z ogniwami wiążącemi teraźniejszość z przeszłością i przyszłością...

Rozpamiętywanie przeszłości, umiłowanie wolności, oto, co utrzymało nas na powierzchni życia i uratowało od zagłady przez czas tak długiej i trującej niewoli... Narodowa myśl, tęsknota do ideału, a ideałem: Ojczyzna! — oto, co stanowiło cel życia i wypełniało treść tego życia!

A dziś?....

Przedtem ponad wszystko kochaliśmy to, czego jeszcze nie było, a dziś?

Wszak Byt Niepodległy już jest! Ojczyzna, jako Państwo widna, znana i uznana przez cały świat!... A my?...

Sprawiamy często wrażenie ludzi, którzy całą duszą znienawidzili skarb, tak przedtem przez siebie upragniony i pożądany... Radziby rozdrapać go czemprędzej, rozebrać i podzielić się częściami łupu pomiędzy sobą, aby już potem nie myśleć o nim więcej....

W miejsce wspólnoty myśli, uczuć, ideałów rozprzężenie... Serca nie goreją i nie płoną jednym płomieniem... Porozstrącało je i rozdzieliło zimne pustkowie...

Czy w wieczór wigilijny zdołają z powrotem zapłonąć? Czy zapłonąwszy, obejmą jasnym, gorącym płomieniem cały nasz kraj, żeby gorzał, jako jedna pochodnia??

Nim przełamiemy opłatek biały, niechaj pamięć dawnych w przeszłości krzywd, bólów i zawodów napełni serca nasze dumą i radością, żeśmy pośrodku nieszczęść wytrwali i przetrwali; niech świadomym się nam stanie pewnik, że pokrzepieniem serc naszych było umiłowanie najszczytniejszych ideałów i tęsknota do najwyższego z nich: do odzyskania Wolności... żeśmy tę Wolność odzyskali przez miłość gorejących serc.

Niech w wieczór wigilijny popłyną życzenia i zapadną postanowienia, że tę miłość posiądziemy z powrotem, że ona będzie najsilniejszem i jedynem spoidłem życia naszego, ostoją



Po uchwaleniu daniny państwowej: Minister Skarbu dr. Jerzy Michalski, autor projektu sanacyi naszych stosunków finansowych. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Po uchwaleniu daniny państwowej.

Sprawa daniny państwowej, mającej przyczynić się do sanacyi naszych stosunków finansowych, nieopatrzną gospodarką doprowadzonych do stanu poprostu krytycznego, załatwioną została szczęśliwie w trzeciem czytaniu na plenum sejmowem. — Trudności, na jakie napotykała, udało się szczęśliwie zwalczyć, ustawę uchwalono znaczną większością głosów w myśl projektu rządowego, z nieznacznemi poprawkami, uwzględniającemi słuszne żądania poszczególnych stronnictw. Walka o daninę państwową była bardzo zacięta, w zasadzie przyznawano jej słuszność, w rzeczywistości przecież dokładano starań z różnych stron, aby ciężar jej odwrócić od siebie, a skierować na innych. Ostatecznie zwyciężyło zrozumienie powagi chwili naszego krytycznego położenia, projekt sanacyi naszych finansów, podany przez ministra Michalskiego, wchodzi w życie, stanowiąc zapowiedź lepszej ekonomicznej przyszłości.

Gabinet Ponikowskiego, mający za zadanie ratunek państwa przed grożącą mu ruiną, odniósł w ten sposób pełny sukces, tak materyalny, jak i moralny, lwia część zasługi należy się ministrowi skarbu, drowi Michalskiemu, którego projekty sanacyjne, opracowane fachowo i sumiennie, przekonać musiały nawet i tych przeciwników, niechętnych zawsze, ilekroć rozchodzi się o jakiekolwiek świadczenia, choćby nawet w tak ciężkiem i prawie bez wyjścia, jak się zdawało, położeniu. To wotum zaufania, jakie Sejm udzielił gabinetowi Ponikowskiego, przyjmując ustawę o daninie państwowej znaczną większością głosów, to piękny podarunek gwiazdkowy tak dla niego, jak wogóle dla całego polskiego społeczeństwa, mogącego żywić nadzieję, że praca odbudowy naszej państwowości, prowadzona dalej w tym duchu, przyniešć musi korzyści i wprowadzić nasze życie na normalne tory. Dla niejednego sprawa daniny państwowej stanie się może przykrą, na punkcie bowiem ofiar materyalnych są ludzie bardzo drażliwi, niestety, obejść się bez nich nie mogło, jeśli gospodarka nasza finansowa miała osiągnąć równowagę. Danina państwowa była wewnętrznym środkiem ratunku, skuteczniejszym od proponowej przez dra Diamanda redukcyi wartości wszystkich biletów bankowych o dziesięć do dwudziestu procent, co, wobec ogromnych sum marek polskich, wywiezionych za granicę, naraziło by nas na zupełnie słuszny zarzut bankructwa i podkopało jeszcze bardziej i tak już doprowadzony prawie do zera kredyt i zaufanie.

Na ogół, o ile energicznie zabierze się do pracy nasz aparat podatkowy, szczególniej w byłej Kongresówce wiele pozostawiający do życzenia, danina państwowa przyniesie około ośmdziesiąt miliardów marek polskich i o tyle też zmniejszy nasz wielomiliardowy niedobór. Będzie to jedynym wielkim krokiem naprzód ku poprawie stosunków ekonomicznych w kraju, co jednak najważniejsze, wzmocni także zaufanie do nas, jako do ludzi, rozumiejących swój interes i umiejących się rządzić, poza jego granicami. Pierwszem bezpośredniem następstwem tego musi być ustalenie się wartości naszej marki, dziś zupełnie jej prawie pozbawionej w stosunku do walut zagranicznych.

W myśl przedłożenia rządowego i według przypuszczalnych obliczeń rolnictwo ma zapłacić około pięćdziesiąt miliardów, przemysł i handel ponad dwadzieścia cztery miliardy, właściciele nieruchomości w b. zaborze rosyjskim jeden miliard czterysta czterdzieści milionów, w b. zaborze austryackim trzysta milionów, na kresach sto sześćdziesiąt milionów, zawody wyzwolone pół miliarda, właściciele samochodów, ekwipaży i dorożek jeden miliard trzysta milionów.

Dobry początek zatem zrobiony. Po daninie przyjdzie kolej i na inne podatki i opłaty (w najbliższym czasie od wzbogacenia się), powoli dojdziemy wreszcie do tak upragnionej równowagi finansowej, która uchroni nas od wyzysku, łaski i niełaski zagranicy i pozwoli odetchnąć swobodniej.



Odyssea ex-króla Karola Habsburga: Willa „Victoria" w Funchal na Madeirze, obecna rezydencya ex-króla Karola i jego małżonki.



Odyssea ex-króla Karola Habsburga: Przybycie angielskiego krążownika „Cardiff", wiozącego na swym pokładzie parę królewskich wygnańców do portu w Funchal.

Odbudowa Wawelu.

Kraków, to serce Polski, a jego sercem jest Wawel, ten niemy, a jednak tak wiele mówiący świadek naszej wspaniałej przeszłości i sławy. Z jego murami wiążą nas ściśle nasze dzieje, dla każdego



Odyssea ex-króla Karola Habsburga: 1) Ex-król w samochodzie, w którym udał się z portu do willi „Victoria" po wylądowaniu w Funchal. 2. Para królewska opuszcza katedrę w Funchal po wysłuchaniu mszy św. w niedzielę, dnia 20 listopada b. r.

Polaka jest to miejsce święte, ku któremu rwie się jego serce. Od czasu przeniesienia przez Zygmunta III. właściwej stolicy do Warszawy, Kraków okazał się trafny i praktyczny. W ciągu jednego roku wpłynęło tą drogą od osób prywatnych i instytucye czterdzieści pięć milionów marek, co umożliwiło intenzywne prowadzenie robót w dalszym ciągu. Zdarzało się, że na cel odbudowy przeznaczano oszczędności całego swego życia, by ratować od upadku ten tak drogi każdemu zabytek.

Praca nad odbudową Zamku królewskiego postępuje raźno naprzód, a obejmuje trzy okresy: restauracyę zewnętrzną, urządzenie wewnętrzne i uporządkowanie całego wzgórza. Pierwszy dobiega do kresu, na jesień 1922 ukończoną będzie odbudowa gotyckiej części i Kurzej Stopki, poczem przyjdzie kolej na następne. Niektóre z robót, należące do dwu następnych, przeprowadzono już w okresie pierwszym, który z monumentalnej budowli starł zewnętrzne ślady jej hańby i upadku.

Kierownictwo odbudowy Wawelu, zamykając pierwszy okres swej pracy, może sobie z zupełną słusznością powiedzieć, że odpowiedziało zadaniu i pomimo trudnych bardzo warunków, w jakich mu pracować przyszło, zdziałało wiele. Po ostatecznem ukończeniu robót około zewnętrznej restauracyi Zamku przyjdzie kolej na nierównie cięższą i kosztowniejszą, to jest na doprowadzenie wnętrza do stanu, któryby odpowiadałby naszej godności narodowej. Ofiarność publiczna, która dotąd tak obficie zasiliła fundusz odbudowy, nie może zatem ustać, przeciwnie, przykład spieszących tak chętnie z pomocą w roku bieżącym powinien podziałać zachęcająco i znaleźć naśladowców, gdyż tylko w tym wypadku roboty restauracyjne mogą w dalszym ciągu pójść naprzód w wartkiem tempie. Kierownictwo odbudowy liczy też na to i z otuchą spogląda przed siebie, nie tracąc nadziei, że ogół nie odmówi mu najdalej idącego poparcia i to przede-



Wyludnienie Francyi: Rodzina Amet z Cornimont w Wogezach

był nią tylko *de momine,* opustoszały ściany wawelskiego Zamku, ostateczny cios zadał mu najeźdźca, umieszczając w nim swą załogę, mającą stać na straży lojalności obywateli podwawelskiego grodu. Stylowe komnaty przerobiono na szablon koszarowy, serce Polaka krwawiło się na widok pohańbienia, jakie spotkało naszą największą pamiątkę narodową.

I wiele kosztowało wysiłków, tak moralnych, jak i materyalnych, aby uzyskać „łaskawe" zezwolenie na przywrócenie naszej byłej rezydencyi królewskiej bodajby cienia jej dawnego blasku. Była to własność nasza, lecz długo nie pozwolono nam zająć się jej losem, obawiając się, by, mając godne dla władcy pomieszczenie, nie pomyślał ktoś przypadkiem o... wolności. Gdy trudności pokonano, wzięto się do robót restauracyjnych, postępowały one jednak z powodu braku odpowiednich funduszów, bardzo powoli, przerwała je wreszcie zawierucha światowa, rozszalała nad naszą ziemią. W każdym razie początek był już zrobiony, a gdy pod koniec r. 1918 zajaśniała nam Jutrzenka Wolności, rząd polski podjął w dalszym ciągu pracę nad odbudową tego wspaniałego historycznego zabytku. Ale i teraz roboty szły niesporo, fundusze na ten cel przeznaczone nie wystarczały, a drożyzna rosła z każdym dniem. Aby prace restauracyjne nie uległy przerwie, trzeba się, zatem było uciec do ofiarności ogółu, a ta nie zawiodła. Projekt „cegiełek" polegający na składaniu przez ofiarodawców kosztów jednodniowej pracy, w kwocie trzydziestu tysięcy marek,



Wyludnienie Francyi: Dom rodziny Amet w Cornimont w Wogezach.

wszystkiem materyalnego, pod postacią zgłaszania cegiełek. Dałby Bóg, by rok następny przyniósł ich bodaj tyle, co bieżący, gdyż wydatki rosną z dnia na dzień, pomoc rządowa jest bardzo szczupła, a chwilowe bodaj przerwanie robót restauracyjnych świadczyłoby bardzo smutno o duchu naszego społeczeństwa i pojmowaniu przez nie swych obowiązków.

A świętym obowiązkiem naszym starać się rozpoczęte wielkie dzieło jak najrychlej do skutku doprowadzić, co może nastąpić tylko wtedy, jeśli cały ogół poprze wydatnie cele odbudowy. Wielkie i ciężkie zbliżają się zadania, aby Zamkowi królów naszych nadać teraz odpowiedni wewnętrzny wygląd. Na razie założono dopiero ogniotrwałe stropy i ustawiono historyczne piece, na właściwe urządzenie wewnętrzne zaś złożyć się ma ofiarność rodów magnackich, które nie poskąpią zapewne różnych pamiątek historycznych, rewindykacya zagrabionych stąd niegdyś przedmiotów i droga kupna, a tego rodzaju przedmioty płaci się dziś na wagę złota.

Także i samo uprządkowanie wzgórza wawelskiego pociągnąć za sobą musi niemałe wydatki. Dotąd przeprowadzono już niektóre adaptacye, jak przebudowę bramy wjazdowej od strony północnej, usunięcie dawnych austryackich strzelnic, w trakcie jest ustawienie pomnika Kościuszki na barbakanie Władysława IV. pod wieżą zegarową.

Wiele zatem jeszcze czasu upłynie i wiele potrzeba jeszcze milionów, nim starożytna królów naszych sadyba otrzyma szatę, przypominającą bodajby w części dawną jej świetność i sławę.



Wyludnienie Francyi: Matka Gaudré z Vingt-Hanaps w otoczeniu swych dzieci.

Odyssea ex-króla Karola Habsburga.

Przebieg wypadków, jakie rozegrały się w ostatnich dniach października na ziemi węgierskiej, znany jest naszym Czytelnikom. Para królewska, wezwana przez stronników, przybyła na Węgry drogą powietrzną, nadzieje odzyskania tronu zawiodły, Karol i Zyta dostali się w ręce wojsk rządowych i internowani zostali w klasztorze Benedyktynów w Tihany nad jeziorem Błotnem. Rządy mocarstw sprzymierzonych, aby przeszkodzić dalszym próbom ex króla, mogącym zakłócić i tak już niepewny pokój w tej części Europy, zadecydowały, że były król węgierski osiędzie na stałe w Funchal na wyspie Madeirze, skąd nie tak łatwo przyszłoby mu przedsiębrać ewentualne dalsze wyprawy po koronę węgierską.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności przewieziona została para królewska z Tihany na wybrzeże Dunaju między Betaszeg a Baya i umieszczoną na pokładzie angielskiej kanonierki „Glowbor", która odpłynęła niebawem w dół Dunaju. W Gałaczu udali się ex-królestwo na pokład parowca „Principessa Marya", który przewiózł ich do Suliny, gdzie oczekiwał już na swych „gości" angielski krążownik „Cardiff", na którego pokładzie przez Bosfor, morze Marmara, Egejskie, Śródziemne i Gibraltar podążyli na Atlantyk, kierując się ku portugalskiej wyspie Madeirze, jednej z najpiękniejszych okolic świata, zwanej dla swej wspaniałej wegetacyi „świętą Heleną w różach". W Funchal, stolicy wyspy wyznaczono internowanym mieszkanie w uroczo położonej willi „Victoria", należącej do miejscowego bankiera i znanego sportowca Vieira de Castro.

W dniu 19. listopada przybył „Cardiff" do portu w Funchal około godziny dziesiątej przed południem. Pogoda była wspaniała, lazuru nieba nie pokrywała ani jedna chmurka, o lepsze z niem szła powierzchnia morza, w którego falach załamywały się promienie słoneczne, wywołując wrażenie drugiego sklepienia niebieskiego, a między niemi szybował angielski krążownik, witany strzałami armatnimi przez nadbrzeżne forty i odpowiadający na nie.

O przyjeździe wygnańców wiedziano już wcze-



Kłopoty hiszpańskie w Mauretanii: Grupa powstańców maurytańskich pojmanych w niewolę hiszpańską

śniej w Funchal, skoro zatem „Cardiff" ukazał się na horyzoncie, z portu wyruszyły naprzeciw dwie barki, na których znajdowali się delegat rządu portugalskiego Silva Vieira, przedstawiciele prasy oraz bankier Castro.

Przybyłych na pokład „Cardiffu" spotkało przykre rozczarowanie, z ust bowiem komendanta dowiedzieli się, że ex-król Karol nie życzy sobie wywiadów, fotografowania itd., wobec czego trzeba było z niczem powrócić na ląd. Zauważyli jedynie młodą kobietę, przybraną w zwykłą zupełnie suknię, koloru niebieskiego i osłoniętą welonem. Była to prawdopodobnie ex-królowa Zyta. Na powitania odpowiedziała grzecznym ukłonem, a oczy jej skierowane były w stronę wyspy. Dziennikarze nie dali jednak za wygraną i przez kilka godzin czekali cierpliwie w porcie na wylądowanie swych niezwykłych gości.

Według oświadczeń korespondentów pism miejscowych i zagranicznych, Karol Habsburg miał minę dość niewyraźną, więcej ożywienia okazywała jego małżonka, towarzyszący zaś parze królewskiej hrabstwo Hunyady poruszali się jak automaty. W porcie królestwo zajęli miejsce w samochodzie, który ich odwiózł do ich nowej rezydencyi, ostrzeliwany przez zatrzaski aparatów fotografów amatorów i operatorów kinematograficznych.

Następnego dnia po przybyciu na wyspę, wysłuchali król Karol i Zyta mszy świętej w miejscowej katedrze. Wygnańcy spotykają się w swej nowej siedzibie z dowodami szczerego współczucia miejscowej ludności. W rozmowie z otoczeniem oświadczył ex-król, iż w czasie podróży przeszedł wiele emocyi, że obydwoje wraz z małżonką, zachwyceni są pięknością wyspy, roztoczył też plany na przyszłość, wedle których lato mają zamiar przepędzić



Massaryk, a polityka światowa: Prezydent Republiki Czesko-słowackiej znany polityk, Massaryk.

w posiadłości wiejskiej jednego z tutejszych krezusów, niejakiego Rocha Machado.

W ten sposób zakończył się jeden z rozdziałów przeżyć byłego władcy Austryi i Węgier, podzielającego dziś los Napoleona. Jak długo potrwa pobyt byłej pary królewskiej na Madeirze, to się pokaże dopiero w dalszym ciągu.

Massaryk a polityka światowa.

Osobą prezydenta Republiki czesko-słowackiej, Massaryka, zajmuje się nieraz prasa całego świata a tem samem i nasza, z luźnych tych notatek trudno przecież wyrobić sobie dokładniejsze wyobrażenie na zapatrywania czeskiego męża stanu na obecną sytuacyę.

Jaśniejszy snop światła rzuca na nie dopiero wywiad, jakiego korespondentowi nowojorskiego *Wordla* udzielił Massaryk bezpośrednio przed rozpoczęciem się konferencyi waszyngtońskiej. Sprawozdanie składa on na łamach swojego pisma.

Wynika z nich, że prezydent Massaryk wita radośnie projekt konferencyi, gdyż przekonany jest, iż przyczyni się ona do utrwalenia pokoju. Już w samym fakcie, iż w stolicy Stanów Zjednoczonych zjechali się kierujący mężowie stanu wszystkich prawie narodów, widzi pożyteczny skutek konferencyi. Kiedy Hardinga wybierano prezydentem zdawało się, iż Ameryka wkracza na drogę polityki „izolowania się". Konferencya pozwala twierdzić, iż obrano drogę inną, lepszą i jedynie możliwą. Prezydent Czecho-Słowacyi wierzy w demokratyczny ideał Ameryki. Stany Zjednoczone udowodniły, iż nie mają żadnych terytoryalnych aspiracyi i właśnie dlatego mogą mieć na stosunki europejskie wpływ niezmiernie dodatni.

Jestem wyznawcą — mówił Massaryk — ideału trwałego pokoju, wrogiem militaryzmu i imperyalizmu, ale właśnie dlatego przeciwnikiem jestem również sentymentalnego pacyfizmu, z którym często w Anglii i Ameryce się spotykałem. Zwolennicy tego pacyfizmu okazali się w rzeczywistem dążeniu do pokoju opiekunami najbardziej zdobywczego militaryzmu. Dlatego też życzę konferencyi w Waszyngtonie, by przysłużyła się naprawdę pokojowi.



Kłopoty hiszpańskie w Maurytanii: Odjazd z dworca kolejowego madryckiego wojsk przeznaczonych do Afryki północnej

Prezydent zwraca w dalszym ciągu uwagę konferencyi na problem Środkowej Europy, który zdaniem jego, znajduje mało zrozumienia na zachodzie Europy i w Ameryce, gdzie nie spotyka się takiej ilości małych państw i narodów, których liczy Massaryk 18 w środkowej Europie. Chodzi o konsolidacye tych państw i narodów, które zajmują ważną strefę pomiędzy zachodem Europy a Rosyą.

Dalsze problemy, których rozstrzygnięciem powinna się zająć konferencya, to: kwestya rosyjska i zabezpieczenie stanowcze Francyi przed ewentualnością nowego ataku Niemiec.

„Nie zajmuję w ten sposób wrogiego stanowiska względem Niemiec, ale przeciwnie, żywię nadzieję, iż pomiędzy Francyą a Niemcami przyjdzie do porozumienia i współpracy. Anglia winna się podjąć w tem pośrednictwa".

Prezydent Massaryk jest zdania, iż powojenna Europa może i musi stać się koalicyą wielkich i małych narodów. Na tem demokratycznem stanowisku stojąc, życzy sobie porozumienia francusko-niemie-



Kłopoty hiszpańskie w Maurytanii: Wejście do cytadeli na górze Arruit, gdzie wojska hiszpańskie broniły się rozpaczliwie przed powstańcami maurytańskimi.

ckiego i dlatego oczekuje chwili, kiedy Rosya odzyska swój wpływ w Europie. Problem zespolenia po angielsku mówiących ludów, tj. St. Zjednoczonych i Anglii uważa za łatwiejszy. Konflikt Japonii z Ameryką jest następstwem przeludnienia tej pierwszej i będzie trudny do załagodzenia.

Z czeskiego worka wyleźć musi zawsze moskiewskie szydło. Do „cara batiuszki" Czesi nie przestaną nigdy wzdychać gorąco, rosyjskie ich sympatye odziedziczyli obecnie częściowo po Romanowach... Lenin i Trocki.

Wyludnienie Francyi.

Francya znalazła się wobec grożącego jej niebezpieczeństwa wyludnienia, które zbliżało się coraz szybciej. Już w ostatnich latach przed wojną zwrócono na to baczną uwagę, że liczba zgonów z roku na rok wzrasta, gwałtownie zaś maleje liczba urodzin, zestawienie zaś obu cyfr wykazuje przewagę na rzecz pierwszych i to tak gwałtowną, że stało się to powodem poważnych refleksyi i obaw, że Francya stoi w przededniu wyludnienia. Wojna światowa przyczyniła się do jeszcze większego pogorszenia tego stanu, zabierając setki tysięcy ofiar i to we wieku młodzieńczym.

Niemcy, zapamiętali wrogowie Francyi, którzy nie gardzą żadnym środkiem, mogącym zaszkodzić znienawidzonemu sąsiadowi, zacierają z radości ręce, że ich w tem zasługa, oni bowiem potrafili wmówić w Francuzów, wyzyskując ich próżność, że nadmierna płodność wpływa ujemnie na wdzięk i zewnętrzny wygląd kobiet, odbija się też fatalnie na stanie zdrowia młodego pokolenia. Wysunięto osła-



Z wyprawy na Mont Everest: Ruiny starożytnych murów i bram w Kampa Dzong.

wiony problem, znany powszechnie pod popularną nazwą „*Zweikindersistem*", który rzeczywiście we Francyi znalazł bardzo wielu zwolenników. Rzucony w ten sposób posiew znalazł spodziewane owoce, ludność francuska malała liczebnie coraz bardziej, a Niemcy zacierali z radości ręce, postępując sami w sposób zupełnie inny. Piękny przykład troskliwości o wzrost żywiołu niemieckiego dała rodzina cesarska, w ślady jej szli wierni poddani, ludność Niemiec wzrastała z każdym rokiem. Tutaj nikt nie krępował się obawami, ani o los matek, ani ich potomstwa. „Zweikindersistem", choć wytwór niemiecki, przeznaczony był jedynie dla zagranicy.

Otwarły się wreszcie oczy i Francuzom, że źle się u nich dzieje, zwracano uwagę na to, jakie niebezpieczeństwo grozi krajowi, który po pewnym szeregu lat znaleźć się może w tem położeniu, że nie będzie w stanie utrzymać należytego kontyngentu swej armii, gdy natomiast sąsiad od wschodu cieszyć się będzie nadmiarem rekruta. W tej obawie zaczęto się zastanawiać nad szukaniem środków zaradczych, a w obmyślaniu ich wzięły udział tak sfery oficyalne, jak i jednostki. Powstały w tym celu liczne fundacye dla rodzin pobłogosławionych większą liczbą potomstwa, a jedno z pierwszych miejsc między niemi zajmuje zapis Cocgnacq-Jay'a, z którego Akademia Francuska ma obecnie rozdzielić dziewięćdziesiąt nagród po 25.000 franków między najliczniejsze rodziny.

Jak dalece ogół francuski wziął sobie tę sprawę do serca i jaką do niej przywiązuje wagę, świadczy zajęcie się nią przez całe społeczeństwo, a także



Z naszej sceny: Janina Werniczówna, artystka dramatyczna krakowskiej „Bagateli".

przez prasę, która na ten temat pomieszcza liczne artykuły i przynosi ilustracye, przedstawiające najliczniejsze francuskie rodziny, stawiając je swym rodakom jako przykład godny naśladowania „*Un bel exemple de grande famille française*", to rodzina Amet z Cornimont w Wogezach, ciesząca się piękną cyfrą dwudziestu trzech potomków, z których dwadzieścia dwoje pozostaje przy życiu. Z liczby tej w ciągu wojny ubyło czworo, dwu z nich padło na placu boju. Do niedawna o rodzinie Amet nikt prócz najbliższych sąsiadów nie wiedział, dziś nazwisko ich jest na ustach wszystkich, znane są ogółowi najdrobniejsze szczegóły z ich życia, nie ominie ją też i to zupełnie zasłużenie, wspomniana wyżej nagroda.

Druga. podobnie szczęśliwa, to rodzina Gaudré z Vingt-Hanaps, ciesząca się jednak już tylko dziewiętnaściorgiem potomstwa. W dalszym ciągu idą za niemi inne, prawie wszystkie należące do stanu włościańskiego, do którego nie miały sposobności dojść niemieckie podszepty.

Jeżeli zatem Niemcy chcieli w ten sposób pokonać swego politycznego wroga, muszą się i na tem polu uznać za pobitych. Lud włościański francuski ratuje w tym wypadku sytuacyę, a w ślady jego pójdzie teraz niezawodnie i inteligencya.

Kłopoty hiszpańskie w Maurytanii.

Sytuacya, wywołana powstaniem Maurów w Afryce północnej, dążących do zrzucenia z siebie hiszpańskiego jarzma, pogarsza się z dniem każdym. Na froncie bojowym ponoszą wojska hiszpańskie klęskę po klęsce, głuche wiadomości, dochodzące o nich do kraju, wywołują ogólne rozgoryczenie przeciw wojnie, dla ogółu bardzo niesympatycznej, zwłaszcza zaś w kraju, tak podminowanym agitacyą rewolucyjną, jak Hiszpania. Tysiące żołnierzy hiszpańskich legło na polu walki, tysiące ich dostało się w ręce



Z wyprawy na Mont Everest: Gubernator Tingri Dzong (Tybet) z swą matką i żoną.

Maurów, którzy w sposób okrutny i bezwzględny obchodzą się ze swymi jeńcami, szerząc w ten sposób postrach nieopisany w szeregach hiszpańskich i wprowadzając zamęt w stosunki wewnętrzne samej Hiszpanii. Los jeńców jest przedmiotem troski ludności cywilnej w całym kraju, domagającej się jak najrychlejszego zakończenia wojny, która korzyści materyalnych nie przynosi, a tyle ofiar kosztuje.

W Melilli, Madrycie i całej Hiszpanii urządzono manifestacye, aby wezwać rząd do przyspieszenia akcyi, celem uwolnienia jeńców Abdul Kerima. — W Alimeskis sytuacya pojmanych żołnierzy hiszpańskich staje się z każdym dniem poważniejsza. Maurowie rozstrzelali wielu jeńców i grożą wymordowaniem wszystkich jeżeli letnicy hiszpańscy będą bombardowali ich namioty.

Do Madrytu przybyła delegacya żon oficerów i żołnierzy, która wezwała rząd do poczynienia energicznych kroków, celem uwolnienia ich mężów. Abdul Kerim polecił donieść rządowi hiszpańskiemu, iż każe pozabijać bez litości wszystkich jeńców hiszpańskich, jeżeli wojska hiszpańskie przekroczą rzekę Korf. W Madrycie odbyła się wielka manifestacya. Na ulicach miasta przeciągają patrole wojskowe.

Wobec podobnego stanu rzeczy rząd hiszpański chwyta się ostatniego środka ratunku, wysyłając do Afryki coraz liczniejsze posiłki, na miejscu zaś, jak już w poprzednim numerze donosiliśmy, bawi hiszpański minister wojny, siły hiszpańskie, choć idące w setki tysięcy ludzi, są jednak widocznie za słabe, aby podołać wrogowi, posługującemu się staremi, ale wypróbowanemi metodami walki, odpowiedniemi dla terenu, na jakim się rozgrywają, a wo-



Z wyprawy na Mont Everest: Wejście do tunelu wyżłobionego przez rzekę, wypływającą z lodowca Kungshung, na zboczach Gaurizankaru

bec których nowoczesna strategia jest bezsilną. Wojna w Afryce północnej kosztuje też miliardy, a Hiszpania, choć w czasie niedawnej zawieruchy światowej nie ucierpiała, nie jest tak bogatym krajem, aby mogła podołać kolosalnym wydatkom, rujnującym zupełnie budżet państwowy.

Maurowie walczą o swą wolność i to dodaje im zapału i otuchy, żołnierz hiszpański idzie do walki, gdyż tak mu rozkazano, częstokroć nie wiedząc nawet, o co się bije, jeśli zaś czytamy w komunikatach o męstwie, jakie okazali Hiszpanie na terenie afrykańskim, to raczej tłómaczyć je sobie należy rozpaczą, z jaką bronią drogiego dla się życia. I w tem właśnie leży przewaga wojsk powstańczych, zupełnie nieregularnych, uzbrojonych prymitywnie, nad hiszpańskimi, wyposażonemi w najnowsze zdobycze techniki bojowej. Cytadela na górze Arruit, która po długotrwałej rozpaczliwej obronie wojsk hiszpańskich, zostających pod dowództwem jenerała Navarro, wpadła w ręce Maurów, jest świadectwem okrucieństw, jakich oni dopuszczają się wobec swych jeńców. Od kul nieprzyjacielskich zginęła część załogi, reszta jej padła pod nożem wroga, gdy dalsza obrona okazała się niemożliwą, a spodziewane posiłki nie nadchodziły. Klęskę swą opłacili tam Hiszpanie kilku tysiącami zabitych i wymordowanych.

Wieści o podobnych „sukcesach" oręża hiszpań-

skiego, szerzone w kraju drogą prywatną, choć oficyalnie zaprzeczane, przyczyniają się w wysokim stopniu do wywołania ogólnego zniechęcenia i energicznego żądania jak najrychlejszego jej końca.

Z naszej sceny.

Jedną z ostatnich nowości repertuaru krakowskiej „Bagateli“ była trzyaktowa sztuka Hansa Müllera „Płomień“, osnuta na tle tragisznych losów upadłej moralnie dziewczyny, pędzącej swój opłakany żywot na bruku wielkomiejskim.

Jest to utwór dramatyczny o wysokiem napięciu, należący do najnowszej literatury dramatycznej, zasadniczo różniącej się od dawniejszej, tak, jak inną jest zupełnie publiczność, odwiedzająca obecnie teatry i żądająca senzacyi, chociażby nawet najbardziej realistycznych, odzierających życie ludzkie nawet z pozoru wszelkiego ideału, a przedstawiające je w całej swej ohydzie i nagości. Z doboru sztuk tego rodzaju nie można czynić zarzutu kierownictwu sceny, ile raczej publiczności, żądnej podobnych, nerwy szarpiących nowości, będących wiernem odbiciem przejawów codziennego życia i to najczęściej w najsmutniejszych i najdrastyczniejszych jego momentach. Jej wymagania muszą być zaspokojone, jeśli się nie chce narazić na to, by audytoryum podczas przedstawienia świeciło pustkami.

Dla sił aktorskich sztuki podobne dają wiele pola do popisu, zadanie ich jest jednak bardzo trudne, przychodzi im bowiem odtworzyć przed oczyma widza sceny, wzięte wprost z życia codziennego, banalnego i brutalnego, wymagającego też głębokich i długich studyów nad współczesną ludzką psyche.

W „Płomieniu“ są właściwie tylko dwie role popisowe: rozkochanego w upadłej moralnie dziewczynie kompozytora i jego kochanki, Anny.

Tą ostatnią na deskach „Bagateli“ odtworzyła w sposób zasługujący ze wszechmiar na szczere uznanie, znana już bywalcom teatralnym z poprzednich swych występów artystka, p. Werniczówna. Grą swą, w roli niewdzięcznej, szarpiącej poprostu nerwy, potrafiła dla nieszczęśliwej ofiary losu obudzić ogólne współczucie, dowodem zaś, jak żywe zainteresowanie wywołała jej gra prawdziwie artystyczna i głęboko odczuta, były rzęsiste oklaski, jakie zbierała w każdym akcie i słowa uznania, jakich jej nie szczędziła zawodowa krytyka, zaliczająca ją do naszych sił artystycznych pierwszorzędnych.

Kierownictwu „Bagateli“ przyznać trzeba, że nie żałuje zabiegów w staraniu się o złożenie zespołu artystycznego, mogącego zadowolić nawet bardzo wybredne wymagania.

Z wyprawy na Mont Everest.

Zdarzeniem dnia, mającem znaczenie ogólno światowe, jest wyprawa angielskich badaczy w głąb Tybetu i na Mont Everest. celem poznania tajemnic tego kraju i wydarcia przyrodzie tak troskliwie i zazdrośnie ukrywanych przez nią tajemnic. W jednym z poprzednich numerów naszego pisma podaliśmy garść szczegółów, odnoszących się do tej naukowej wyprawy, obecnie podajemy dalszy ich ciąg, budzący bardzo żywe zainteresowanie w całym cywilizowanym świecie.

Gaurizankar (Mont-Everest) po górze Grahama najwyższy szczyt na świecie, znany dotąd jedynie z legend i baśni, zbadany przez angielskich podróżników, ześrodkował na sobie uwagę nie tylko kół uczonych i turystów, lecz także i szerszego ogółu.

Grono uczonych i alpinistów w Anglii przygotowało wyprawę na górę Everest, najwyższy ze szczytów Himalajów (8840 metrów). Inicyator wyprawy jenerał Bruce, doskonały znawca Himalajów, utworzył komitet złożony z najwybitniejszych członków angielskiego Towarzystwa Geograficznego, oraz znanych alpinistów, pomiędzy którymi niektórzy wznosili się już w Himalajach na szczyty 23.000 stóp wysokości i zapewnił sobie współpracownictwo pułkownika Bury, wybornie znającego Tybet i jego mieszkańców. Okazało się, że od dobrej woli i gorliwego poparcia Tybetańczyków w pewnej mierze zależy powodzenie wyprawy, która ma pierwszorzędne znaczenie pod względem naukowym. Wyprawa została rozłożona na kilka lat. W pierwszym roku dokonano przy pomocy samolotów, przygotowawcze prace, przeważnie w kreśleniu map. Towarzystwo Geograficzne uznało projektowaną wyprawę za najtrudniejszą ze wszystkich dotąd dokonanych, trudniejszą od wypraw do wnętrza Tybetu i Turkiestanu, do źródeł Nilu, do Kongo, nawet do wypraw podbiegunowych.

Cel wyprawy został w zupełności osiągnięty, już bowiem w pierwszym roku, jak doniosły depesze, udało się dostać na szczyt Gaurizankaru. Opisy przygód i spostrzeżeń poczynionych w ciągu tej podróży, drukowane w pismach angielskich, zawierają tyle ciekawych, a dotychczas nieznanych szczegółów, wprowadzają czytelnika w tak obce mu dotychczas światy, budzą tyle podziwu dla energii i poświęcenia się śmiałych turystów, iż lektura ich równa się czytaniu najfantastyczniejszej powieści i zająć może każdego. O ile wierzyć można doniesieniom, niemal u samego szczytu już Gaurizankaru natrafiono na odciski tajemnicze w śniegu, które naprowadziły badaczy na przypuszczenie, że ma się tu do czynienia ze śladami pobytu człowieka pierwotnego, na którego poszukiwanie wytężyły swe siły równocześnie Ameryka i Anglia. Pierwsza poszukuje go na równinach azyatyckich, więc na drodze dawnej wędrówki ludów, druga obrała sobie za teren swych badań Himalaje i nie traci nadziei, że uda się jej osiągnąć swój cel, skoro tylko warunki atmosferyczne pozwolą na dalsze podjęcie poszukiwań. Nie należy zapominać, że odbywają się one na takiej wysokości, w jakiej dotąd prawie żaden Europejczyk nie przebywał.

Przeniósłszy namioty z Tingri do Kharta pod koniec lipca, ekspedycya rozpoczęła badania wschodnich, okolic i przełęczy wkoło Everestu. Krajowcy nie mogli dać bliższych objaśnień, ale idąc śladami wysłanych wprzód panów Bullock i Mallory poszła ekspedycya ścieżką, prowadzącą do doliny Khartatsang, poprzez którą płynie szeroka rzeka z niedającego się bliżej oznaczyć lodowca. Okolica urodzajna, jęczmień dochodzi trzech stóp wysokości, a między drzewami jałowca i rododendronami widać zamożne wioski i schludne klasztory. Na wysokości 18.000 stóp kulisi, którzy nie byli dobrze wytrenowani, skarżyli się wszyscy na ból głowy. Pomimo, że schodzące chmury zakrywały często horyzont, wspaniały był widok doliny, która z powodu wilgoci Monsumu cieszy się bujną roślinnością, z zwisającemi i schodzącemi aż do granic roślinności polami śnieżnemi i lodowcami. Podczas gdy Mont Everest ginął w oddali, bliska góra Makalu, zwana przez krajowców Chomoloendo, piętrzyła się czarnemi skałami nad lodowcem Kangshung. Cały dzień słychać grzmoty zrywających się ogromnych kawałów lodu, spadających na lodowiec i do wypływającej z niego rzeki.

Przekonawszy się o niemożliwości zbliżenia się do Mont Everest od wschodu, powrócili wysłani wprzód alpiniści do doliny Khartatsangpo, by próbować dojść do źródeł rzeki wypływającej z lodowca Kangshung. Powróciwszy do Kharty inną drogą, turyści przeszli okolicą obfitującą w rzadkie zresztą, Himalajach jeziora.

Przekonawszy się o niemożliwości dostępu od wschodu, udano się z podstawowego obozu do doliny Rongbuk, którą płynie dwoma ramionami rzeka, zasilana wprost z Mont Everest. Ramieniem od wschodu zdawał się dostęp na północne stoki Everestu możliwy, jakkolwiek długi i uciążliwy. Ale niestety nagła zmiana powietrza i spadłe śniegi uniemożliwiły chwilowo dalsze badania. Krajowcy twierdzą, że z sąsiedniej doliny zwanej Kamachu a wyższych częściach Shinchu, zbliżyć się można do północnych stoków, ale nikt z nich tego nie próbował, gdyż pasterze pasący bydło na tych stokach należą do szczepów koczowniczych. Rozpoczęto wykreślać drogi i plany, by próbować dostać się tą stroną, ale tymczasem odpoczywano w Kharcie, czekając na mrozy, gdyż na miękkim śniegu nie sposób przeprawiać kulisów i bydło juczne z tobołami. Począwszy od Kharty pułkownik Bury ma zamiar rozłożyć kilka obozów, jeden na wysokości 17.500 stóp, drugi na 20.000 stóp, a ostatni aż na 23—24.000 stóp. Do średniego obozu przetransportowano już trzynaście ładunków żywności i opału.

OD REDAKCYI.

Z Nowym Rokiem otwieramy w *„Nowościach Illustrowanych“* nowy dział p.t. „Przewodnik literacki“. Będą to bezstronne oceny ukazujących się nowych wydawnictw. Prowadzenie tego działu powierzyliśmy siłom fachowym. Autorzy i wydawcy, pragnący korzystać z tego działu zechcą egzemplarze recenzyjne nadsyłać pod adresem naszej Redakcyi.

Nasza premia.

P. T. nowi Abonenci naszego pisma, o ile zaprenumerują je w **Centralnej Administracyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.**, otrzymają bezpłatnie, jako premię:

1. kwartalni, ozdobnie oprawny Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1922,

2. półroczni i caloroczni nadto i Kalendarz tygodniowy biurkowy na rok 1922.

Prenumerata *„Nowości Illustrowanych“* wynosi:

Kwartalnie	. .	988 Mk.
Półrocznie	. .	1976 „
Rocznie	. . . .	3952 „

Na poleconą przesyłkę kalendarzy należy dołączyć **25** Mkp.

Z półek księgarskich.

Jako drugi tomik „Przewodnika po Ziemiach Małopolski“ opuściły prasę drukarską *Aleksandra Borawskiego*, wskazówki dla zwiedzających zabytki wawelskiego wzgórza p. t. *„Katedra na Wawelu“*. (Kraków 1921. Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, Oddział krakowski. Nakładem „Dziedzictwa“ w Cieszynie).

Przewodników dla zwiedzających Kraków i jego zabytki mamy dość, ograniczają się one do suchych lakonicznych wzmianek, nie oddziaływających zbyt zachęcająco na turystę. Swieżo wydany przez Borawskiego przewodnik dla zwiedzających Katedrę wawelską tem się różni od podobnych, że autor okiem artysty patrzy na zabytki naszej świetnej przeszłości i umie wskazać widzowi to, co w samej rzeczy zasługuje na obejrzenie dokładne, a bez tej podniety mogłoby z łatwością ujść jego baczności. Krótko, treściwie i wyczerpująco zestawiony materyał świadczy aż nazbyt dobitnie, że autor jest nie tylko artystą, lecz, że gorąco umiłował to wszystko, co z taką znajomością rzeczy tak ze stanowiska artystycznego jak i historycznego czytelnikowi do wiadomości podaje. Na ośmdziesięciu kilku stronicach znajdzie się wszystko to, co ułatwi zwiedzanie Katedry wawelskiej, przestudyowanie przed jego rozpoczęciem przewodnika ułatwi je i uprości w znacznej mierze. Na podniesienie zasługuje czysty, potoczysty język polski i barwne przedstawienie rzeczy, dostępne także dla jednostek nie posiadających wyższego wykształcenia. Uzupełnieniem tekstu jest kilka rycin i dokładny plan katedry.

NADESŁANE.

Kazimierz Bartoszewicz

Goście w Kłopotówce

Ujrzawszy przed tygodniem pana Jerzego na plantacyach, zdziwiłem się niezmiernie. — Wszak zaledwie wyjechał na wiejskie wywczasy do brata stryjecznego i zapowiadał, że dopiero za dwa miesiące powróci do Krakowa. Cieszył się, że użyje na świeżem powietrzu, na balsamicznej woni łąk i lasów, na rozkosznej kąpieli w bystrym potoku górskim, na prawdziwym żytnim chlebie, na niefałszowanem mleku, na maśle, pochodzącem od rzetelnej krowy, na kurczętach dobrze odżywionych. A przytem aż rósł z uciechy, że będzie miał spokój i pełną swobodę, zdala od dyskusyi politycznych, jęków tramwajowych, zbiórek dobroczynnych, wreszcie hałasów i krzyków całego tuzina dzieci współlokatorów...

Promieniał, kiedy go spotkałem na kilka dni przed wyjazdem — a teraz szedł zgnębiony, pochmurny. Nie byłby mnie nawet zauważył, gdybym go sam nie zaczepił.

— Jużeś to pan powrócił?

— A już. I chwała Bogu, żem powrócił.

— Co się stało?

— Ot, szkoda mówić. A zresztą, jeżeli pan masz czas, to posłuchaj.

— Wyjechałem w sobotę. Tłok w wagonie straszny, gorąco wściekłe. Ha, trudno — przez czyściec dąży się do raju. Wyszturkany, zgnieciony, spocony, dojechałem po trzech godzinach do przystanku, od którego dwa kilometry do Bolka. Widocznie nie doszedł go telegram, rano wysłany, bo koni nie było. Czekam pół godziny, wreszcie biorę jakiegoś chłopca, aby mi niósł walizkę i rżnę *per pedes*. Spotykam Bolka w pół drogi — telegram otrzymał przed kwadransem. Uściski, całusy. Widzę jednak, że Bolek jakiś zakłopotany.

— Może ci mój przyjazd nie na rękę? — zapytuję.

— Ależ, mój złoty, cieszę się niezmiernie... tylko obawiam się, czy Ci będzie wygodnie, bo niespodzianie mam sporo gości u siebie...

Zajechaliśmy przed ganek. Wysiadam. Na ganku wita mnie milutka Bolkowa i ciotka Melania, ta, wiesz pan, z Warszawy, wdowa po adwokacie, mająca kamienicę i dwie córki — starsza Nina jest literatką (brr!), a młodsza, mniej uduchowiona Zebcia, wyszła za właściciela drukarni, z którym wydała już dwie edycye w 16-ce — czteroletnią Danusię i dwuletniego Zbyszka. Dowiaduję się, że całe to grono bawi w Wielkiej Kłopotówce — bo widzisz — tłómaczy mi ciotka — w mieście głód, a na wsi wszystkiego w bród...

Zajmuję swe locum w oficynie — nb. w roku zeszłym mieszkałem we dworze w pokoju od ogrodu. Zaledwie przebrałem się, dają znać, że obiad podany. Wszedłszy do pokoju jadalnego, zdrętwiałem. Przy olbrzymim stole zasiadło, prócz gospodarstwa, czternaście, wyraźnie czternaście ciał „dojrzałych“ i trzynaścioro, wyraźnie trzynaścioro przedstawicieli i przedstawicielek „przyszłości narodu“. Masz babo redutę — żadny będę miał spokój, miłą będę miał swobodę...

Pierwszy rzuca mi się w objęcia Felek Grzechota Niedorajdowicz, komisarz starostwa, który ze swoją żoną przyjechał do „kochanego Bolka“ ze względu na łączące ich bliskie pokrewieństwo, matka jego bowiem była cioteczną siostrą ojca „kochanej Bolkowej“. Drugim przedstawicielem rodu męskiego był Józef Kreis-Obwodowski, inżynier powiatowy z tarnowskiego, kolega gimnazyalny Bolka, przytem esperantysta, wiceprezes powiatowego komitetu odbudowy kraju i członek Rady nadzorczej Towarzystwa bratniej pomocy poszkodowanych przez wojnę filatelistów.

Personal żeński gości Bolkowych składał się z różnych rodzonych i nierodzonych, starszych i młodszych „sióstr“ i „ciotek“ gospodarstwa z Galicyi i Królestwa... Chude przyjechały, aby nabrać ciała, tłuste, aby schudnąć za pomocą zimnych kąpieli. Mężatkom szło o to, aby ich dzieci „łyknęły świeżego powietrza“, pannom, aby „nabrały kolorów“, tak sprzyjających zabiegom około złapania mężów, choćby... inwalidów. Wszystkie jednak te damy zaręczały mi później przy sposobności, że jedynie „uczucia rodzinne“, chęć zobaczenia „swoich“ w tak ciężkich czasach były powodem zjechania ich do Wielkiej Kłopotówki.

Po obiedzie starsi przeszli do salonu, a dzieci pobiegły do ogrodu. Żabcia zasiadła do fortepianu, po Żabci Niusia, po Niusi Fema, po Femie Ada. Cierpiał biedny klawicymbał, cierpiałem i ja. Uciekłem na ganek. Za mną wyszli Niedorajdowicz, Obwodowski, ciotka Melania, Nina i Bolek. Rozpoczęła się dyskusya polityczna (masz tobie!). Pokazało się, że wyznajemy sześć odmiennych oryentacyi. Zaczęliśmy się kłócić jak... w sejmie.

Uciekłem dalej do ogrodu. Ale wrzaski i krzyki bawiącej się „przyszłości narodu“, jak wystraszyły już przedtem wszystkie słowiki i całą rzeszę skrzydlatą, tak wypędziły i mnie. Zrobiłem zwrot na lewo w tył i znalazłem się wśród łanów zboża. Ścieżka prowadziła ku lasowi i potokowi, który tu właśnie tworzył wodospadek i wyżłabiał głębsze koryto. Było to jedyne miejsce, zdatne do kąpieli, ocienione przytem kaliną i wierzbami. Uśmiechałem się na samą myśl czekającej mnie rozkoszy, gdy usłyszałem kwik przeraźliwy. Wydała go Niedorajdowiczowa, która z siostrą Fruzią, żoną b. rotmistrza austryackiego, pluskała się w potoku i wzięła mnie za Akteona, chciwego widoku dojrzałych i obfitych wdzięków niewieścich.

Cofnąłem się, składając hołd cnocie skromności. Podczas rejterady spotkałem się z Niną. Zasypała mnie pytaniami, czy znam jej ostatnią impressyę: „Psychologia pękającego granatu“ i powieść: „Wizye demona“. Nie czekając odpowiedzi, zaczęła kreślić swe poglądy na głębie bezwiadu, szczepionki natchnień i na fosforyzacyę zagadnień bytu pozaświatowego. Spociłem się gorzej niż w wagonie.

Doszliśmy do zabudowań gospodarskich. Bolkowa stała przy oborze, pilnując udoju mleka. Znać było na jej buziaku ogromne zmęczenie i wyczerpanie — nic dziwnego: pamiętać o zadowoleniu tylu „drogich“ gości! „Mam ogromny kłopot“ — mówiła. — Pozostały mi tylko cztery krowy, z których dwie są cielne, więc mała z nich pociecha. Wszystkie matki dopominają się o mleko dla dzieci, na „zsiadłe“ amatorów dwa razy więcej, niż go dostarczyć mogę — a tu przecież potrzeba jeszcze mleka do kuchni, na śmietankę do kawy... Masło dokupuję na wsi, ale mleka baby sprzedać nie chcą...“

Po kolacyi skromnej (nie takie dawniej u Bolków bywały!) „przyszłość narodu“ zapędzono do spania (chwała Bogu, bo mnie od pisków i szczebiotów bolała już głowa), a nam podano herbatę. Zauważyłem, że gospodarze jej nie pili i do „drugiej“ szklanki nie zachęcali. Uwagą tą podzieliłem się z ciotką Melanią...

— Bo to widzisz — odpowiedziała mi półszeptem — codzień kilo cukru wychodzi, a Bolkowie mają małe jego zapasy. Nie biorę im tego za złe, choć, prawdę powiedziawszy, powinni się byli przygotować, wiedząc, że będą mieli gości. Co do mnie, robię z siebie poświęcenie, bom przyzwyczajona wypijać wieczorem trzy szklanki herbaty, a poprzestaję na dwóch. Gorzej jeszcze z kawą czarną, bo tej całkiem nie dają, na czem cierpi szczególnie moja Nina, ponieważ nie tworzyć nie może. Ile razy przyjdzie jej w Warszawie natchnienie, całą maszynkę kawy przy pisaniu wypija... Przez cały miesiąc dwa dwa razy tylko były kurczęta, za to cielęcinę masz codzień prawie — widocznie cielęta obrodziły... Zważywszy jeszcze inne braki i niewygody, o których się sam przekonasz, muszę powiedzieć: gdzieżeś się podziała nasza dawna, staropolska, szlachecka gościnność?...

Powiedzieliśmy sobie nareszcie dobranoc — i rozeszliśmy się po swych „numerach“. Na nieszczęście w mojem sąsiedztwie ulokowano „siostrę“ Fruzię z trojgiem „dragoniąt“, z których najmłodsze przebudziło się ze snu i wyrażało płaczem niezadowolenie z istniejących stosunków. Energiczna dłoń Fruzi wymierzała klapsy za klapsami, aż wreszcie wymusiła subordynacyę. Ale to napędzanie rozumu do głowy trwało z przerwami dobre pół godziny... Nie potrzebuję dodawać, że łoże moje było dość twarde, ale skąd u licha dostarczyć miękkiej pościeli tylu wielkim i małym ciałom familijnym?

Nie będę panu — mówił dalej Jerzy — opisywał całego mojego pobytu u Bolka. Już na trzeci dzień powziąłem stały a nieprzymuszony zamiar powrócić do Krakowa. Miałem dość gwaru, niewygód, wrzasku bębnów, polityki Niedorajdowicza i Kreis-Obwodowskiego, dysput literacko filozoficznych Niny, etiudów fortepianowych, kwaśnej miny ciotki Melanii, złośliwych uwag innych kuzynek... Na domiar złego kuzynka Klimcia, którą dopiero teraz poznałem, zaczęła mnie brać na sentyment. Nazywała mnie „drogim braciszkiem“ (dziesiąta woda po kisielu), przypinała mi róże do klapy żakietu, brała mnie na przechadzkę pod ramię, siedząc na murawie wyciągała nóżkę (istotnie małą ma szelmutka!), nęciła mnie odsłoniętym karczkiem (wart gałgan ognistego pocałunku!), udawała zamyśloną, mówiła, że marzy o zamieszkaniu w Krakowie... Zamach na mój błogosławiony stan kawalerski był aż nadto widoczny. A mnie poco kłaść głowę pod ewangelię? Wytrwałem do czterdziestki w stanie niewinności — wytrwam i dalej.

To też czwartego dnia mówię Bolkowi, żeby mi dał konie do stacyi. Skoczył jak oparzony. Nigdy na to nie przystanie. Więc mu tłómaczę, że jest tu nas za dużo, że trzeba dać innym dobry przykład, że wreszcie kiedyindziej wynagrodzę sobie w dwójnasób to opuszczenie pozycyi na silnie obsadzonym odcinku zbiegowiska familijnego. „Bo po kiego licha — dodaję — zaprosiłeś całą tę bandę, po której wyjeździe Kłopotówka będzie wyglądała jak po napadzie Tatarów?“

— Ależ ja nie zapraszałem wszystkich — sumituje się Bolek. — Zaprosiłem jedynie Ciebie, Klimcię, Adę i Zośkę z synkiem. Reszta sama się narzuciła i to po części podstępnie. Niedorajdowiczowie naprzykład, tak jak i ciotka Melania ze swoją czwórka, nadmieniali w listach, że mieliby wielką ochotę nas odwiedzić, ale z przykrością zrzekają się tej myśli, gdyż ważne okoliczności stoją im na przeszkodzie. Oczywiście grzeczność nakazywała wyrazić ubolewanie i nadzieję, że może okoliczności się zmienią. I zmieniły się natychmiast, jak na zawołanie. Obwodowski znów donosił, że będzie w naszych stronach w sprawie odbudowy kraju, korzystając więc ze sposobności, pragnie parę dni u mnie przepędzić. Tych „par“ dni minęło już kilkanaście.

Bolek puścić mnie nie chciał, Bolkowa oświadczyła z filuternym uśmiechem, że mi oczy wydrapie, abym jej nigdy więcej nie zobaczył (wie rozkoszny łobuz, że lubię patrzeć na jej cacanego buziaka) — stanął wreszcie kompromis, że jeszcze do niedzieli u nich pobawię, a na jesień uzupełnię przerwane wywczasy.

Mając jeszcze kilka dni przed sobą, na własną rękę podjąłem się misyi dyplomatycznego nacisku na część okupantów i okupantek Wielkiej Kłopotówki. Chciałem im podsunąć myśl, aby wskutek ciasnoty i trudności aprowizacyjnych przyspieszyli opuszczenie zajętego terytoryum. Ułatwiła mi znakomicie tę misyę wieść o moim wyjeździe.

Oczywiście nie zaczepiałem ani Niedorajdowiczów, ani ciotki Melanii, wiedząc z góry, że z zajętych pozycyi nie ustąpią, mimo najsilniejszej z mej strony ofenzywy. Zostawiłem w spokoju i Klimcię, a to w obawie, aby nie zawadziła o Kraków, gdzie ma stryja naczelnikiem oddziału Centrali pokrzywy, lebiody i młodej koniczyny.

Pierwszy atak rozpocząłem od Romciowej, profesorowej ze Lwowa, która z siostrą Femcią, oraz z dwojgiem błogosławieństwa okupowała sypialnię gospodarstwa, internowanych na noc w pokoju jadalnym. Powiedziałem jej, dlaczego wyjeżdżam, przedstawiłem trudne położenie gospodarstwa, wreszcie konieczność, aby ci, co mogą, opuścili Kłopotówkę...

— Masz racyę, kuzynie — odrzekła z głębokiem przekonaniem. — Nie uwierzysz, jak mi żal Bolka, a Bolkowej jeszcze więcej. Zapracuje się biedna kobiecina. Po co tu zjechała n. p. ciotka Melania ze swoją zwaryowaną Niną — siedzi baba na pieniądzach i jeszcze innych objada. Albo ta Fruzia z nieznośnymi bębnami — mąż jej ma olbrzymi mnożnik i podobno jeszcze paskuje... Nie te kobiety nie mają żadnej wyrozumiałości, żadnego serca... Jabym pierwsza

opuściła Kłopotówkę, gdyby nie to, żeśmy się z Romciem ułożyli, dla oszczędności oddać rzeczy na skład i wynająć na lato nasze mieszkanie... Bardzo, bardzo mi przykro, że się tak stało. ale co robić?

Atak został odparty. Zwróciłem się więc do Fruzi. Znalazłem u niej zupełne uznanie dla moich dobrych chęci ulżenia Bolkowi.

— Bo, powiedz mi — mówiła — skąd się tu wzięła naprzykład ta Romciowa z Femcią i z tymi orangutanami. Niby to nasza kuzynka, ale dalibóg chyba po prababce Ewie. Nie mówię już o Melanii, ani o tym dusigroszu Niedorajdowiczu — na miejscu Bolka zarazbym im drzwi pokazała. Bezczelni ludzie. Gdyby mój Wacio nie został komisarzem na kresach wschodnich, noga moja by tu nie postała. Ale cóż mam robić biedna, opuszczona sierota z mojemi maleństwami. Gdzie się mam udać jak nie do swoich? Nie ruszę się też stąd aż do powrotu Wacia.

Zrobiło mi się gorąco. Poszedłem szukać Kreis-Obwodowskiego. Może mi się choć z tym uda.

— Kochanemu panu — mówiłem — pewnie tu niewygodnie. Tyle tu ludzi...

— Rzeczywiście. Nigdy nie przypuszczałem, że pan Bolesław ma tak liczną familię. Byłoby mi tu całkiem dobrze, gdyby nie tęsknota za żoną i pędrakami...

— Rozumiem to doskonale (podchwyciłem). Mówiono, że pańska żona to anioł prawdziwy, a dziateczki śliczne, rozkoszne... I one pewnie też tęsknią za tatusiem...

— Oczywiście. To też napiszę dziś do żony, aby zabrała dzieci i choć na kilka dni tu przybyła...

Oświadczenie to odebrało mi mowę.

Obwodowski dobił mnie projektem ukojenia swej tesknoty. Zerwałem zawarty kompromis z Bolkiem — nie chciałem nawet zostać na obiedzie. I oto masz mnie pan z powrotem w Krakowie.

* * *

Na tem Jerzy skończył swą smutną opowieść.

— A cóż Klimcia? — zapytałem.

— Pożegnała mnie smętnem wejrzeniem i rzekła zcicha: do widzenia w Krakowie... Czuję, że to robota Bolkowej, bo odebrałem dziś od niej list, w którym pisze między innemi: „Klimcia jest Tobą zachwycona — ładna to, miła i bardzo dobra dziewczyna — lepszego materyału na towarzyszkę życia wymarzyć sobie trudno... Ale, ale, przyszlij mi pół funta kawy, bo Nina jest w rozpaczy, że bez niej stanie się bezpłodną“...



JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

12)

Bąblowie przygotowywali się już do snu, kiedy w przedpokoju zadźwięczał ostro dzwonek.

— Kto to taki może być o tej porze? — zadziwił się Bąbel.

Franka zbladła nagle. Zatargało nią złe przeczucie. Dzień dzisiejszy upłynął w takim spokaju i pogodzie, jakiego już od miesięcy nie pamiętano w tym domu. Bąbel prosto ze sklepu powrócił do rodziny, bawił się dziećmi, pieścił je, Krzysię egzaminował ze sztuki czytania, z żoną rozmawiał przyjaźnie, interesował się różnemi sprawami gospodarskiemi, wieczorem ani wspomniał o wyjściu na miasto... France serce wezbrało wdzięcznością do tej siły cudownej, która wróciła jej męża...

— Może Matka Boska da, że Antoś odmieni się już na stałe... Może wszystko znowu będzie dobrze, po dawnemu... Toć on serce ma, i żeby nie ci obcy ludzie...

Drugi raz zajęczał dzwonek — jeszcze ostrzej, jeszcze bardziej przeniklıwie... Bąblowa chwyciła męża kurczowo za rękę:

— Antoś, nie otwierajmy!...

— Oszalałaś?... dlaczego?!...

— Ja nie wiem... ja się boję...

— Idźże głupia!... — wysunął rękę z jej dłoni i postąpił kilka kroków w kierunku przedpokoju.

— Nie otwieraj!...

Dzwonek odezwał się po raz trzeci.

— Ty doprawdy masz czasem zupełnie źle w głowie!... Dzieci się pobudzą i sługi niepotrzebnie!...

Pospieszył do drzwi:

— Kto tam?

— To ja... Olczak!... Cóż mnie pan tak trzymasz przed drzwiami na zimnie...

— Redaktor!...

— Ja we własnej osobie!... Otwierajże pan do licha, panie Antoni!...

Bąbel zdjął łańcuch i odsunął zatrzask.

— Dobry wieczór!... cóż za miła wizyta!... Nie spodziewałem się, redaktorze!...

— I ja się nie spodziewałem, że tutaj dzisiaj będę, ale to wszystko przez pańską niesłowność!...

— Przez moją niesłowność?...

— Naturalnie, przecież pan — pochylił się do ucha Bąbla i szepnął mu cicho kilka słów.

— Ja nie mogłem w żaden sposób... — odszepnął tamten zmięszany.

— Później się pan będziesz tłómaczył, a teraz zbierać się i kwita!... jedziemy na kolacyę!...

— Teraz?... — w głosie Bąbla zadrgało wahanie...

— Rozumie się, że teraz... — Olczak, zniżając znowu głos do szeptu, dodał: Ona tam czeka na dole...

— Ja... ja... naprawdę nie wiem...

— Panie, czy to dżentelmen tak postępuje z kobietą, z artystką?!...

Dżentelmen... artystka... Bąblowi zaszumiało w głowie, jakby go ktoś okadził mocnym narkotykiem... stracił wszelką chęć oporu...

— To ja już idę... Niech redaktor pozwoli dalej... Tak stać w przedpokoju...

— Mniejsza z tem!... Zbieraj się pan raz, dwa!...

— Ale co ja żonie powiem?... — zakłopotał się Bąbel.

— Taki człowiek jak pan, żeby się bał żony i opowiadał się jej!... To są przesądy z niższych sfer!... Wśród ludzi z towarzystwa...

— A któż panu powiedział, że ja się boję!...

Bąbel był do żywego dotknięty aluzyą do „niższych sfer“ i chciał koniecznie zademonstrować odrazu, że należy do „towarzystwa“.

— Ja tylko tak sobie mówiłem, ale robię co mi się podoba... W tej chwili będę...

Franka z bijącem trwogą i niecierpliwością sercem czekała na męża.

— Kto to?

— Przyjaciel mój, redaktor Olczak...

Twarz kobiety zszarzała. W oczach zapaliły się posępne błyski.

— Czego on — po nocy?... głos wydobywał się z piersi twardo i głucho.

— Cóż to za noc!.., Dopiero jedynasta godzina... Daj mi smokingowe ubranie!

— Wychodzisz?!

— Tak. — Widząc, że żona nie rusza się, sam podszedł do szafy i wyjął ubranie.

— Dokąd?! po co! z kim?!...

— Ważny interes... muszę iść natychmiast... zarobię na tem grubo... — kłamał dość gładko, nie patrzył jednak żonie w oczy.

— Zarobisz!... aha!... znam te zarobki... — warknęła.

— Nie zwracając na nią uwagi, ubierał się pospiesznie. Włożył świeży kołnierzyk, przypiął krawat, przód koszuli i mankiety ozdobił kosztownemi rubinowemi spinkami.

Franka wsparta o poręcz łóżka, śledziła błyszczącym gorączkowo wzrokiem te przygotowania.

Bąbel zupełnie już ubrany sięgnął po kapelusz i rękawiczki. Żona skoczyła ku niemu jak ranione, oszalałe z bólu zwierzę:

— Ty nie pójdziesz!...

Kurczowo przytrzymała go za ramię. Szarpnął się:

— Zwaryowałaś!... Powiedziałem ci przecież... interes.

— Ty myślisz, że ja już taka głupia?!... że ja nie wiem, do kogo ty chcesz iść!... — nie puszczała go, wpijając się paznokciami w ciało poprzez cienkie sukno smokingu.

— ¿Co ciebie to obchodzi?... ja mam własną wolę!... A niby do kogo ja to idę?...

Przytrzymując go ciągle jedną ręką, drugą sięgnęła za bluzkę i wydobyła pachnącą, znalezioną w portfelu męża kopertę.

— Do niej!... do tej szmaty, co ten list pisała!... Na kolacykę ją prosisz!... Na rozpustę!...

Zapach, który wionął z koperty, podziałał drażniąco na zmysły mężczyzny... Stefa jak żywa — śliczna, kusząca — stanęła mu przed oczyma... Ona tam czeka... marznie na zimnie... gotowa pogniewać się!... a tu go zatrzymują...

Wyrwał ramię z uścisku żony i chwycił kapelusz:

— Milcz!...

— Ja mam milczeć, ja?!... ja, twoja ślubna żona!... ja, matka dzieciom!... Bo ty do dziewki jakiejś!...

I zbudzone krzykiem dzieci uderzyły w płacz.

— Słyszysz?! twoje dzieci płaczą — ty bezbożniku!... ja nie pozwolę!... ja mam prawo! A temu przeklętnikowi, co cię wiedzie na pokuszenie!... co tam czeka jak dyabeł na złą duszę, to...

Wyrazy ordynarne, uliczne sypały się teraz z jej ust gradem pod adresem Olczaka. Franka zwykle przemawiała łagodnie i delikatnie, ale rozpacz, gniew, zazdrość — zbudziły w niej całą brutalność dziecka suteryn.

Rzuciła się w kierunku przedpokoju, gotowa czynnie bronić swoich praw przed napastnikiem. Bąbel odgadł jej zamiar... Z błyskawiczną szybkością pchnął ją, tak, że upadła na podłogę. Zanim zdążyła się podnieść — jego już w mieszkaniu nie było. Olczak poprzednio, słysząc krzyki i przeczuwając atak ze strony Bąblowej, wycofał się przezornie za drzwi.

Franka leżała przez chwilę na ziemi — ogłuszona... Kiedy zerwała się i przekonała, że męża niema, podbiegła do okna, zrywając gwałtownie storę. Zobaczyła jeszcze odjeżdżającą dorożkę.

— O! Jezu!... Jezu!...

Do tego już doszło, że ją pchnął — uderzył!... o ziemię, jak tego psa parszywego cisnął!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

JÓZEF LASOŃ

Nawrócenie grzesznika

Dominik był niedowiarkiem. Chłopską, bezdomną dolą pędzony, wraz z matką wyemigrował pacholęciem do Prus i tam, po śmierci matki przepędził młodość, orząc skiby macosze obczyzny, następnie hartował potem ciała stal pocisków w fabrykach broni. Zaorał w sobie wspomnienia ojczyste, wyszlifował duszę poglądami marksistów, teoryami kauzkich, wsiąkając w szorstką, chłopską duszę bakcyle podatne jego mózgowi, z których zrodziła się nienawiść do wszystkiego nieprzystępnego, do wszystkich mu nierównych. Jeśli nienawidził silniejszych, gardził słabszymi. Przejął to bezwiednie od prowodyrów, którzy posługując się tłumami ujarzmiali ich w imię zasad idei, gardzili w imię zasad własnych. Nieświadomość Dominika niedozwoliła mu odepchnięcia tegoż, wsiąkła natomiast w jego krew, stała się własnem wyznaniem. Nie czuł toleranckich uścisków dłoni prowodyrów, szanujących jego wartość jednostki ujarzmionego tłumu, wchłaniał okruszyny ich słów tworząc sobie własny światopogląd. Ojczyzną jego stała się ziemia dająca mu pracę, religią własne wyznanie, nieumiejętne wyciśnięcie ze zdrowego drzewa soków, które przemieniły się w jadowity napój.

Wróciła go obczyzna wysączywszy pierwiastki ojczyźniane i religijne, które zdaniem jego wynalezione zostały do ujarzmienia człowieka.

Nic przeto dziwnego, że Dominik nie lubił i nie uznawał żadnych obrzędów religijnych, nie uznawał tradycyi i uroczystości.

W tygodniu przedświątecznym Bożego Narodzenia miał wypadek w fabryce. Kawał żelaza upadł mu na nogę, naruszył palce. Przywieziono go do mieszkania i pozostawiono w domowem leczeniu. Mieszkał kątem u stróżki, której mąż pracował razem z nim w fabryce.

W dniu wigilijnym Michalik, po wypłacie, przyszedłszy do domu przyniósł niedużą sosenkę, na widok której dzieciarnia skupiona przy matce, przyrządzającej ryby na wieczór wigilijny, podniosła tryumfalny okrzyk, uwiesiwszy się ramion ojca, trzymającego choinkę. Dominik, leżąc na łóżku, spoglądał na nich ze złością, ironicznie uśmiechając się do Michalika:

— Nie szkoda pieniędzy. Pracujesz bracie ciężko na każdy grosz, który lekkomyślnie się wyrzuca. Kupiłbyś lepiej chleba, lub jaką oświecającą broszurę, lub gazetę. Szkoda każdego grosza!

— Oświecony, czy nieoświecony i tak kiedyś umrę — macha ręką Michalik — a dzieciom uciechę sprawić trzeba, i choinkę oświecić. Wreszcie to nie ja to wynalazł i nie ja będę kasować.

Rozpoczyna się dyskusya gorąca, w której bierze udział również Michalikowa i dzieciarnia.

— Światem rządzi kapitał i burżuje — mówi Dominik, z iskrzącym wzrokiem — Oddaliście się im śladem pierwszych niewolników, nie czując bata i wyzysku. Trzymają was na pasku narodowym, popędzając batem klerykalizmu. Obiecują wam niebiosa pośmiertelne, by życie doczesne opanować w własne dłonie, świat wysysać dla siebie. Cóż stąd, że żyjecie? Cóż stąd, że pracujecie nieświadomi tego, co za własny trud i pot należałoby uzyskać, potulni z natury, niewolnicy z urodzenia.

— Prawda to! — potakuje Michalik — ale cóż to ma wspólnego z dzisiejszym dniem uroczystym, z choinką?

— Właśnie, że ma — mówi Dominik — bo wszystkiemi temi szopkami mydlą wam oczy, żeby umysł odciągnąć od właściwych rzeczy. Ja się wychowałem wśród obcych i znam życie i świat. Nie otumanią mnie słówka, ani fałszywy uścisk dłoni burżuja wyzyskiwacza.

Wśród tej dyskusyi i przygotowań świątecznych szybko zbliża się wieczór. Choinka ustawiona w rogu izdebki wypełnia się złoconemi orzechami, rumianemi jak buziak krakowiankami jabłkami, łakociami z cukru i czekolady. Wśród nich duże owoce pomarańczy kołyszą się na obciążonych gałązkach, brunatne figi flirtują ze świecidełkami, żądne ich szat; owite to wszystko srebrnymi i złotymi włosami anielskimi, skute łańcuchami z kolorowego papieru. Jedynie świeczki wystawiły główki i śpią senne w wełnianym knocie. Czuwa nad tem wszystkiem duży anioł papierowy, w bibułkowej, białej sukience z gotowym, napisanym okrzykiem: „Chwała na wysokości, a pokój na ziemi". Dzieciarnia w gąszczach choinki chowa główki, zawzięcie pracuje, tylko zgrzyt niektórych ust, świadczy, że przy wieszaniu, owoc, czy cukierek jakiś niepotrzebnie wpadł i na wieczność utonął. Krzyk pokrzywdzonej dzieciarni płoszy winowajcę i tenże zostaje zbojkotowany w współpracy. Najstarszy z nich Adaś jest na czatach. Z chwilą, gdy zabłyśnie pierwsza gwiazdka, zatrąbi okrzykiem radości celem rozpoczęcia wieczerzy. Stół świątecznie przystrojony odmłodniał, zakrywszy szczerby białym obrusem, pod którym świeże sianko spoczęło.

— Spiesz-że się stara — przynagla Michalik — pana co tylko nie widać. Wieczór już zapada i oni także chcą rozpocząć z pierwszą gwiazdą.

Sam usiada przy oknie, serdecznie zmęczony. Cóż dopiero ma powiedzieć Michalikowa, której przygotowania świąteczne nagromadziły olbrzymią ilość pracy, wysączyły energię do ostatniej iskierki. Ale nieustaje w pracy i za chwilę z uśmiechem szczęścia zapowie:

— Gotowe! Może się gwiazdka pokazać, może się Chrystus narodzić!

W chwili, gdy powyższe słowa miały się wydobyć z gardła Michalikowej, drzwi izdebki się otwierają, wchodzi właściciel fabryki z żoną po zwyczaju, połamać się opłatkiem ze współpracownikiem fabrycznym i stróżem Michalikiem i jego żoną. Zwyczaj ten przechował się od niepamiętnych czasów, kiedy to jeszcze pradziad obecnego właściciela był stróżem tejże samej fabryki, w tejże samej izdebce mieszkał i spędzał wigilię. W mnogich pokłonach witają Michalikowie właścicieli, dziewczyna obcałowują ich ręce, poczem ustawiają się w szyku uroczystym. Dominik zaszyty w kocach, jak tygrys w dżungli obserwuje znienawidzonych burżujów, śledzi zdradę sprawy uciemiężonych Michalika i jego rodziny. W chwili, gdy łamią się opłatkiem i życzą, widzi, jak burżuj ściska Michalika i całuje go w czoło.

— Judasz pocałunkiem zdradza! — rozważa.

— Gdzież nasz chory? — zapytuje wkońcu właścicielka — należałoby i z nim się połamać!

Michalikowie, z obawą prowadzą ich do łóżka chorego, który zmrużywszy powieki udaje śpiącego. Potrząśnięty kilkakrotnie za rękaw udaje zaledwie co przebudzonego, zdziwionym wzrokiem patrzy na otaczających.

— Życzymy panu — mówi sędziwy fabrykant — zdrowia i powodzenia.

Nagromadzone żale uciemiężonego rozpoczynają kazanie o niesprawiedliwości społecznej, ostremi słowami siecząc wyzysk i upośledzenie klasy pracującej.

— Masz pan racyę! — odpowiada właściciel — tylko trzeba zważyć, że życie to wyścigi. Kto pierwszy do mety przybędzie ten zwycięża. Silny rozpycha się łokciami, słaby bywa roztrącany. Każdemu zatem wolno biedz do wytkniętej mety. — To mówiąc serdecznie ściska ręce Dominika i szybko wychodzą.

Dzieciarnia skupiona przy oknie wyczekuje gwiazdki. Adaś jako najwyższy, z zadartym nosem, przycisnięty do szyby błądzi oczami po sklepieniu niebios, reszta dzieciarni wpatruje się w twarz Adasia, na której błysk gwiazdy powinien się odbić.

— Jest! Jest! — krzyczy Adaś ciągnąc nosem po szybie, a za nim chórem nierównobrzmiącym powtarzają dzieciaki.

Dominik nie reaguje na zaproszenie do stołu wigilijnego. Jest siebie pewny i zahartowany. Na obczyźnie nie pamięta, by w chwilach takich uroczystych brał udział. O ile nawet zdarzały się unikał je z przekonania. Wystarczał mu codzienny posiłek i kąt cichy, gdzieby mógł sądować własne myśli i tłuc niemi chytrość burżujów, szmuklerzy naciąganych tradycyi.

Ale ta choinka, ten nastrój świąteczny, wizyta fabrykantów prześladuje go. Gdzieś tam na dnie duszy dostał się robak niszczyciel i podgryza korzonki zdobytych u siebie, na obczyźnie przekonań, odkopuje urny w której spoczęły pacholęce lata. Gdyby był zdrów, obroniłby się. Uciekłby natychmiast w pola lub pustkowia, wyszarpał się z wichrem, wyszczypał do krwi z mrozem, owinął samotnością i zgryzł w sobie wszelkie wspomnienia. A tak musi leżeć na tym barłogu i męczyć się widokiem ludzi, którzy go drażnią, wracają własne przekonania, wygrzebują urny młodości. Ten upstrzony krzak sosny wbił mu się w serce, roz sadza je korzeniami. Wyssał go wprawdzie z piersi matki, ale ściął w świecie jak nieużyteczny chwast, zbyteczny ciężar, który narósł martwy na żywem ciele.

Zapalają świeczki...

Skwirczy się ze szpilkami chojaka jego serce, urna zlekka uchyla zamrzone wieko, wysuwa się z niego skurczone chłopskie dzieciątko, w chałupnika podcementarnej chacie przytulone, razem z matką wyrobnicą. Chojak wtulony koło przypiecka szumi jeszcze lasem, pachnie mrozem i wichrami, ozdobiony szaremi szyszkami nagryzionemi przez wiewióry. Prawdziwy śnieg przyprusza gałązki zwolna rozpływając się w łzy nędzarza z litości przygarniętego do przygodnego ogniska. Przed chwilą oświetlały go gwiazdy, kąpie się teraz w jasności ogniska wydartego z żywota żywionego starszej siostry sosny. Anielskie włosy, pajęczyny, zgrzyły wichry, czuwa nad tem wszystkim prawdziwy Anioł-Stróż, mroźną ręką rysując kwiaty na szybach okien nędzarzy.

Chłopiątko, wylazłszy z urny, chucha w dłonie, przytula się do sosenki i wespół z matką, pełnym gardełkiem śpiewa:

— Chrystus się nam narodził! Pan stworzenia swego!

Dominik wierci się na łóżku. Coś go wewnątrz boli, ugniata, coś się w nim trzepocze! Właśnie wszyscy Michalikowie, jak na złość kolendują. Miałby ochotę przerwać to kolendowanie, ale chłopiątko uwiesiło się jego serca, i spina do gardła. Cienkiemi kleszczami rąk winduje się coraz wyżej, spędzane wolą Dominika, szarpane teoryami własnych wierzeń, pnie się w krwawym szlaku walki człowieka. Mocarne dwie siły spięły się z sobą, okręciły dookoła człowieka wężowym ciałem: Niewiara ze Wspomnieniem. Chłopiątko ze śpiewem Michalików rozolbrzymia się, rozrasta w siły, poczyna deptać teoryę, miażdżyć wierzenia własne, piąć się do gardła człowieka.

— Chrystus się nam narodził! — potężnym głosem wyrwał się z gardła Dominika, tak, że Michalikowie ucichli, skierowali zdziwione oczy na Dominika, wtórując mu bezwiednie, jak cichy akord organów towarzyszących pieśni.

I szła potężna pieśń z piersi Dominika falą niepowstrzymaną, jak lawina śnieżna w przepaść pędząca. Rozchuczało się w nim dziesiątki lat zapomnianych i uciszonych mózgiem, a rozbudzonych sercem. Szła pieśń z serca Dominika okłamawszy mózg, teorye, wierzenia własne, że czyni to dla wiary Michalików i w wiarę ich wierzy.

Nie wie kiedy i jakim sposobem znalazł się przy stole wigilijnym, jak marnotrawny syn, jak spóźniony podróżny wytężywszy wszystkie siły mimo wszystko zapóźno do stołu wigilijnego przybył i ponownie z nim tradycyę trzeba rozpoczynać. Bezwiednie dziesiątki lat pędził do tej chwili, która wynagrodzi mu wszystkie zapomniane.

— Uwierzyłem w was — kłamie, usprawiedliwiając siebie. — I chciałem wam zrobić przyjemność.

Nie wie jakim sposobem znalazł się pomiędzy dziećmi obok choinki, jako najstarszy pośród nich, oświetla powtórnie drzewko i mówi:

— Zrobiłem dla was moje dzieci, ponieważ to wam niezbędne.

I również nie wie sam, jakim sposobem w kulach znalazł się w kościele razem z Michalikami, a klęcząc przed żłóbkiem, pełną piersią śpiewając:

— Chrystus się nam narodził!...

...powie:

— Zrobiłem to dla Ciebie Chryste!

RENE BURES.

Zil=X...

tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

5) Użyteczne odwiedziny.

— Wiesz teraz wszystko. Jedziemy do Rainey, gdzie badać teren będziemy.

Automobil zatrzymał się na przedmieściu Rainey.

Dalton wysiadając, pochylił się ku szoferowi i wydał mu rozkaz, którego nie dosłyszałem. Nagle, kiedy przypatrywałem mu się z zupełną obojętnością poznałem w nim dziwacznego służącego Daltona. Cofnął automobil z wprawą wytrawnego szofera i odjechał.

Równocześnie człowiek jakiś ukazał się na drodze.

— To ty, Ternissien? — rzekł Dalton.

— Tak, to ja.

— Przedsięwziąłeś wszystkie środki ostrożności, które ci nakazałem?

— Tak, niema obecnie nikogo w willi.

— Willa nie była sprzątana?

— Nie.

— Dobrze idź naprzód — zostaw furtkę otwartą. Będziemy tam za pięć minut.

— Dobrze, panie.

Rzeczywiście w pięć minut później znaleźliśmy się przed willą „Bzów". Wieczór już zapadał. Byłem bardzo wzruszony i niespokojny. W milczeniu przeszliśmy przez ogród, rozglądając się wokoło. Kiedy otworzyliśmy drzwi sieni, Ternissien już się tam znajdował. Na znak dany przez Daltona rozświetlił elektryczność. Poczem mój przyjaciel udał się zaraz do gabinetu, wołając za sobą szofera, który mu wskazał dokładnie miejsce, gdzie odkryto zwłoki senatora i jego córki.

Dalton zbliżył się do okna, pochylił się nisko i uważnie przyglądał się dywanowi. W pewnej chwili podniósł z dywana jakiś niewielki przedmiot, który prędko schował do kieszeni zanim rozpoznać mogłem, co to być mogło. Następnie przeszedł cały pokój wokoło czołgając się prawie po podłodze. Wstał w końcu i rzekł do mnie z miną zadowoloną:

— Już wiem to, o co mi chodziło. Możemy odejść.

Zwróciliśmy się ku drzwiom, lecz w tej chwili rozległ się donośny dźwięk dzwonka.

Popatrzyliśmy na siebie z niepokojem, a szofer zbladł silnie. Ale Dalton nie stracił zimnej krwi.

— Idź otworzyć — rzekł do szofera. — My zaś udamy się na pierwsze piętro i tam się ukryjemy. Idź prędko.

Szofer usłuchał. Dalton pochwycił mnie za rękę i pociągnął na korytarz. w kilka sekund później znaleźliśmy się w pokoju sypialnym, mieszczącym się nad samym gabinetem senatora. Pobiegliśmy natychmiast do okna aby się przekonać, kto przybywał do willi.

Ujrzeliśmy pana Giroux, tak jak zawsze czarno ubranego, który szedł przez ogród nerwowym, szybkim krokiem. Za nim szedł mały, gruby człowieczek, pisarz jego zapewne i druga jeszcze osobistość udekorowana czerwoną wstążeczką.

— Do dyabła! — szepnął Dalton. — Sędzia spieszy się w robocie. Nigdy jeszcze nie zdejmowano pieczęci w dwa dni po ich założeniu. A ten urzędnik ministeryalny, który mu towarzyszy zdziwiony musi być na równi ze mną tym nieprzykrywanym pośpiechem.

Usłyszeliśmy po chwili trzask zamykających się drzwi westibulu i szmer głosów ostrzegł nas, że nowo przybyli znajdowali się w pokoju pod nami.

— Co zrobić, żeby usłyszeć co mówią! — szepnął niecierpliwie Dalton.

Położył się na podłodze i przyłożył ucho do szpary w deskach. Ale wkrótce powstał zniechęcony.

— Ah! niech się dzieje co chce! — mruknął.

Przesunął się ostrożnie przez uchylone drzwi, przez które weszliśmy i wydostał się na schody bez uczynienia najmniejszego szmeru.

Pozostałem sam w sypialnym pokoju uzbrajając się w cierpliwość. Ale po upływie paru minut nie mogłem już wytrzymać na miejscu. Dalton zresztą nie kazał mi tu czekać na siebie. Wyślizgnąłem się więc i ja na schody i choć nie szedłem tak ostrożnie jak mój przyjaciel, zszedłem na dół nie zwróciwszy niczyjej uwagi.

Dalton siedział na ostatnim stopniu schodów. Usiadłem obok niego. Nawet nie spojrzał się na mnie. Nie uczynił żadnego giestu. Słuchał ze spokojną uwagą słów, które silny głos sędziego śledczego przynosił mu poprzez drzwi.

Pan Giroux zachowywał się tak swobodnie jak gdyby nie obawiał się żadnej niedyskrecyi.

— Ah! ah! — mówił głośno. — Jakaż to przyjemność znaleść nareszcie człowieka porządku pomiędzy ofiarami zbrodni! Oto akta senatora cudownie ułożone i ponumerowane. Nie będziemy mieć kłopotu w rozejrzeniu się w nich. Czytajmy więc: — „Sprawa hiszpańska" — „Propozycye niemieckie" — „Zachowanie się Anglii".

— Teraz następuje rola pana, aby rzucić okiem na te papiery.

— Na co — odpowiedział głos dźwięczny i poważny.

— Zabieram wszystkie papiery panie sędzio. W ministerstwie przejrzą je do woli. Jeżeli znajdziemy w nich choćby najlżejszy ślad mogący nam oświetlić powód zbrodni, natychmiast panu znać damy.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział pan Giroux. Niech pan zabiera te papiery, niech pan zabiera! Chociaż wydaje mi się rzeczą nieprawdopodobną, jak mi to zaznaczał dziś jeszcze pan prokurator, aby ta sprawa miała podłoże polityczne. Oh! tak! tak! Pan prokurator musi mieć słuszność. Pan prokurator jest człowiekiem wyjątkowym.

Mówiąc to wybuchnął ironicznym śmiechem, który zagłuszył odpowiedź urzędnika ministeryalnego.

Pan Giroux zaś już ciągnął dalej:

— Ale oto! oh! oh! pakiet listów. które jak mi się zdaje nie są wcale urzędowe! Ho! ho! jest i fotografia! Niech się pan przypatrzy tej fotografii! To oczywiście nie jest podobizna królowej. Ale może być podobizną kochanki królewskiej! Czy pan wie, kto jest ta piękna osoba?

Nastąpiło krótkie milczenie. Zapewne wysłannik rządowy oglądał fotografię.

I zaraz zabrzmiał dźwięczny jego głos:

— Jakto? panie sędzio! pan nie zna Zakliny Dubois?

— Zaklina Dubois? — powtórzył ze zdziwieniem sędzia śledczy. — Nie, panie, nie znam jej. Tak jest, nie znam panny Zakliny Dubois. Przybywam z prowincyi proszę pana, jak to już miałem honor oznajmić panu w drodze. Ale któż jest ta Zaklina Dubois? Może osoba lekkich obyczajów?

— Phi! — wymówił głos wytworny z odcieniem ironii — co za brzydkie słowa, panie sędzio! Zaklina Dubois, osobą lekkich obyczajów! Mój Boże! Może jest tak, a może nie! W każdym razie posiada ona dużo talentu. A talent panie sędzio to wielka rzecz, to doskonały i pewny parawan!

— To są przekonania studenta, panie — mruknął sędzia. — A ja już dawno nim przestałem być... o tak dosyć dawno... Ale pan pozwoli, że przeczytam ten napis: „Temu, którego kochać zawsze będę i który kochać mnie musi, inaczej niech się strzeże". Co pan o tem myśli? Czy nie jest to groźba ukryta? Ale nie sądzę, że była zwróconą do pana senatora Poivrier? Pan prokurator, człowiek nadzwyczajny — jak to już panu mówiłem — twierdził przedemną, że pan senator Poivrier wiódł życie bardzo spokojne, godne naśladowania. Gdyby tak nie było, pan prokurator napewno by się tak nie wyrazil.

Tu nastąpił nowy wybuch donośnego śmiechu, a po nim znowu słowa pana Giroux.

— Teraz rzucę okiem na tę korespondencyę. Ho! ho! ułożona została przez człowieka lubiącego porządek. Zachowano nawet koperty...

— „Panna Zaklina Dubois, ulica Touroille 2 — Kiedy opuściłem panią przed chwilą... Aha! to pierwsze oświadczenie zapewnie. A podpis? Jerzy Dambleuse.

— Czy pan zna osobę tego nazwiska?

— Ależ oczywiście — odparł wytworny głos — i pan ją zna również. To Jerzy Dambleuse, awiator, syn pana René Dambleuse, uczonego.

— Niech pan wybaczy — wyrzekł pan Giroux ale trzeba długiego czasu, aby poznać nazwiska wszystkich waszych znakomitości. Przybywam niedawno z prowincyi, proszę pana. A więc Jerzy Dambleuse jest awiatorem? A ojciec jego uczonym.

— Największym uczonym dzisiejszych czasów. I nie mogę zrozumieć, że jego nazwisko jest panu nieznane. Pan prokurator zna je z wszelką pewnością.

— Może... może... — zawołał przenikliwym głosem pan Giroux. Ale oto wszystkie te szuflady są już puste. Zabraliśmy wszystkie papiery znajdujące się w biurku.. Widzę tylko jeszcze tę kasę ogniotrwałą. Nie sądzę, abyśmy ją otworzyć zdołali, pomimo znalezionego klucza. Jednakże próbować będziemy. Oh! niech pan patrzy! Ta kasa otwiera się tylko za pomocą klucza. Ho! ho! pan senator Poivrier był zręcznym człowiekiem. Chował swoje papiery w zwyczajnem biurku, a kasa stała tu tylko po to, aby od biurka odwrócić uwagę. Kasa służy za przynętę dla złodziei, podczas kiedy papiery wartościowe zamknięte są w zwyczajnem biurku. Ho! ho! nieźle obmyślane!

Usłyszeliśmy zgrzyt lekki, po którym wzniósł się znowu głos pana Giroux.

— Ta kasa jak pan widzi zawiera tylko tę małą kartkę. Czytam na niej cyfrę 27.002. Cyfra ta być może, że coś oznacza, a może nie oznacza nic? Sędzia śledczy nie powinien niczego zaniedbać! 27.002, 27.002! Kto wiedzieć może? Sprawy kryminalne są tak zwykle zawikłane!

Straszny śmiech pana Giroux znowu wypełnił cały pokój.

— No, możemy się teraz już oddalić.

— Czy nie przejrzymy reszty domu? — zapytał głos wytworny.

— W jakim celu? Policya już się tem zajęła. Nad nami znajdują się tylko trzy pokoje sypialne, bez skrytek i mebli zamkniętych. Wszystko już zostało obejrzane. Ah! ah! wasza policya paryska doskonale jest zorganizowana.

Nie słyszałem już nic więcej. Dalton dotknął mojego ramienia i dał mi znak, abym się udał na pierwsze piętro. Przybyliśmy tam bez przeszkody. I zaledwie dotarliśmy do sypialnego pokoju, kiedy drzwi na dole otworzyły się z trzaskiem.

Pan sędzia Giroux opuszczał willę „Bzów". Widzieliśmy jak przechodził przez ogród, trzymając pod pachą teczkę wypełnioną papierami. Wytworny urzędnik szedł za nim niosąc również paczkę dużą aktów. Gruby sekretarz zamykał pochód nie niosąc nic.

— Chodźmy stąd! Chodźmy stąd prędko! — zawołał żywo Dalton, kiedy usłyszeliśmy trzask zamykającej się furtki ogrodowej. — Pierwsze te odwiedziny okazały się bardzo użyteczne. Dziękujmy Bogu, że raczył obdarzyć pana sędziego Giroux głosem tak donośnym. Drugie jednak odwiedziny willi „Bzów", mogłyby popsuć cały mój plan. Jedźmy. Przy furtce rozłączymy się. Ty pójdziesz na lewo, a na pierwszem krzyżowaniu dróg znajdziesz automobil nasz. Pojedziesz do redakcyi „Burzy" gdzie oddasz notatkę, którą ci zaraz wręczę. Poczem powrócisz tutaj.

Wyrwał kartkę z notatnika i pisał:

„Kula wystrzelona przez panią de Baumont ugodziła senatora przypadkiem".

Skierowałem się ku drzwiom, lecz Dalton zatrzymał mnie jeszcze.

— Jeszcze słowo. Czy pamiętasz cyfrę wymienioną przed chwilą przez sędziego?

— 27.002.

— Dobrze. Chciałem tylko skontrolować własną pamięć. 27.002. Tak, teraz dobrze.

Zeszliśmy ze schodów. Ternissien oczekiwał nas na dole.

— O mało nie zostaliśmy przychwyceni — rzekł. — Przestraszyłem się porządnie panie Dalton.

— Oto pięćdziesiąt franków za ten przestrach — odparł Dalton wsuwając mu pieniądze do ręki.

Wyszliśmy. Za furtką rozeszliśmy się bez słowa.

W parę minut później znalazłem nasz automobil. Dziwaczny szofer nie uczynił żadnej uwagi, kiedy kazałem mu jechać do redakcyi „Burzy", tylko powiózł mnie z tak zawrotną szybkością, że byłem przygotowany w każdej chwili na katastrofę. Ale tym sposobem udało nam się przybyć przed zamknięciem biura. Nazajutrz „Burza" umieściła tę senzacyjną notatkę Igginsa and Cie., która wywołała nie małe zaciekawienie.

Nie zatrzymywałem się długo w redakcyi, choć chciano mnie tam koniecznie zmusić do dłuższej rozmowy. Pamiętałem na słowa Daltona:

— „Masz tu powrócić".

Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

AMATOR

3)

Był więc kawaler szczęśliwy jak monarcha, jak monarcha ma się rozumieć, który posiada galeryę obrazów flamandzkich.

W samo południe, kiedy pił czekoladę, wszedł do niego jakiś człowiek, dość nędzny z pozoru, ubiór jego wskazywał potrzebę zupełnego odnowienia i odlakierowania. Był to malarz. Wówczas jeszcze malarze nie nazywali się artystami, ale robili zato bardzo dobre obrazy.

— Panie, — rzekł — jestem malarzem.

— Tegoczesnym?

— Tak się zdaje przecież.

— Cóż pan chcesz odemnie?

— Dowiedziałem się na mieście, że pan na bywasz obrazy i przychodzę panu moje ofiarować do sprzedania. Gdybyś zechciał przyjść do mojej pracowni...

— Nie warto tego zachodu panie.

I kawaler zaczął pić dalej swoją czekoladę.

— Jednak kiedy pan jesteś amatorem obrazów, a ja malarzem...

— Malarzem tegoczesnym.

— Więc pan nie sądzisz, żebym mógł mieć talent?

— Nie mówię tego, ale ja skupuję tylko dawne obrazy.

Malarz uśmiechnął się.

— Ależ panie — mówił on dalej — i ja kiedyś będę dawnym, idzie tylko o to, aby poczekać trochę. To przyjdzie samo z siebie, a zawsze za wcześnie. Tylko teraz zamiast zapłacić za mój obraz 20.000 liwrów, tak jakbyś pan za sto lat musiał to zrobić, możesz go pan odemnie za 200 liwrów kupić, bo obecnie potrzebuję żyć, a po mojej śmierci nie będę już niczego potrzebował.

— Bardzo to być może, ale to jest korzystne kupno, którego z żalem zmuszony jestem pozbawić się — odpowiedział kawaler, kłaniając się bardzo zimno młodemu malarzowi, który do głębi serca raniony został tem obojętnem przyjęciem.

— A jednak — mówił dalej malarz — w każdym razie winienem panu podziękowanie.

— Za cóż takiego? — zapytał Dardennes.

— Za to, żeś pan mi nadarzył sposobność oglądania dwóch Mierysów, którzy są prawie tyle szacowani, ile ten, który jest w największem zachowaniu u dworu.

Kawaler Dardennes uderzył w stół pięścią, aż się filiżanka wywróciła.

— Jak to pan mówisz, „prawie tyle szacowani". Czyż istnieje jaki trzeci Mierys?

— Aż sześciu ich jest.

— Może to być?

— Pan posiadasz tylko dwóch Mierysów — mówił dalej malarz, kontent, że znalazł sposobność zemszczenia sie — Mierysa chudego i Mierysa garbatego; trzeba jeszcze dodać do nich: Mierysa małego, Mierysa van Mierysa, Mierysa wstrzemięźliwego i Mierysa pijaka.

— Wielki Boże! a któreż z nich najlepszy?

A malarz na to:

— Na dworze najwięcej jest cenione obecnie Mierys pijak, a pan go nie masz wcale.

— Czyliż kto tu posiada obrazy Mierysa pijaka? — zapytał ze drżeniem kawaler.

-- Sam tylko książę Oranji w całej Holandyi posiada jedynego Mierysa pijaka, a łatwo pan pojmiesz, iż za żadne pieniądze nie zechce z tej ozdoby galeryi swojej ogołocić.

Kawaler Dardennes słysząc to, westchnął i wzniósł oczy do nieba.

— Więc ci dwaj Mierysowie, co mnie kosztowali 26.000 liwrów, są podrobieni?

— Nie panie, ale w mniejszej już cenie te raz i dla takich, którzy twory sztuki lubią na brzęczącą oceniać monetę, mniejszej są wartości, chociaż Bogiem a prawdą lepsi od wszystkich innych.

Kawaler tak poczerwieniał z rozpaczy, że wyglądał jak jaki portret Rubensa pierwszej maniery.

Malarz kłaniając się dodał jeszcze:

— Żegnam pana; przyjemnie mi jest, chociaż jestem tylko nowożytnym malarzem, żem się mógł panu niektóremi informacyami co do mojej sztuki przysłużyć.

I malarz wyszedł, sądząc, że się srodze zemścił nad kawalerem. Ale czyż tak było w samej istocie? Nie. Bo istotnie wszystko to, na to się zdało tylko, iż kawaler Dardennes kupował wprawdzie jeszcze Mierysów chudych albo Mierysów garbatych, ale wszystkie obrazy, które odsprzedawał lub zamieniał, były jego twierdzenia pędzla Mierysa pijaka.

Widać już teraz w Dardannes'ie przebijający się gust do kramarstwa i mydlenia oczów. Musiał on koniecznie podpaść pod ogólne prawidła. Bo bezwarunkowo każdy amator obrazów, niech będzie milionerem, jenerałem armii, ministrem, zawsze jednak na końcu musi zatonąć w tem nieszczęśliwem morzu kramarszczyzny.

Wielkie słowa sztuki, galerye arcytworów, namiętności do dzieł geniuszu, trzeba brać tylko do połowy ich prawdziwego znaczenia, pod skórą amatora zawsze kramarz przebić się musi. Nie mówimy to dlatego, żebyśmy chcieli ganić na miętność amatorstwa, albo pogardzać nią, ale dla miłości prawdy tylko. I w dowód tego powiemy, że kramarz obrazów jest prawdziwym królem, powinien tylko umieć panować.

Przez dwa lata, które kawaler przepędził we Frandryi i Holandyi, zwiedzając Hagę i Amsterdam, Louwain i Bruges, Gandawę, staraniem jedynem jego było nabywanie Mierysów, tych bajecznych Mierysów, którzy mienili, przekształcali się, dwoili, mnożyli, jak skoro na którego z nich natrafić udało mu się. Kupił, a Bóg sam już wie po jakiej cenie, kilku Fracków starych, kilku Quinten Matsysów, dziesięciu Piotrów Brenghelów tak pięknie wykończonych, że za posiadanie jednego z nich całą wieś możnaby oddać, trzech Hans Jordanesów, z których dwóch stało się potem ozdobą galeryi drezdeńskiej, jednego Michała Coxie, tego niezrównanego malarza, który prawie nie jest znany we Francyi, może dlatego, że litera x, tak antypatyczna Francuzom, wchodzi do jego nazwiska. Nie śmiejcie się i kramarska nieśmiertelność od takich nawet drobnostek zależeć może.

Nabył także obraz przedstawiający trzech królów, odwiedzających Chrystusa Pana przez Jana Brenghela, zwanego Brenghelem aksamitnym, którego trzeba od innych Brenghelów odróżnić, bo Brenghelów tyle jest prawie co Mierysów, wieniec kwiatów przez Daniela Seghersa, który to obraz kosztował go 13.000 franków; kilku van Kesselów, przepysznie zakonserwowanych, kilku van Khynów, van Essów, van den Boschów, trzech Wouwermanów, pięć szkiców Rubensa i jeden mały obrazek Rembrandta za 20 tysięcy franków. Kaweler Dardennes musiał nająć cały prawie okręt, żeby bez niebezpieczeństwa uszkodzenia pomieścić w nim obrazy, porcelany, rzeźby, wyroby ze szkła i kości słoniowej, w które się wzbogacił podczas trzech lat pobytu swego w Holandyi. Mówimy wzbogacił, ale wyraz ten trzeba wziąć tylko w znaczeniu sztuki, a nie inaczej. Zamienił on złoto na płótno, płótna te wprawdzie były pokryte arcydziełami, ale moda, kaprys, albo wojna jaka, mogły te arcydzieła pozbawić wszelkiej wartości, że nie powiemy o innej pladze, która dotyka posiadaczy tych ziemskich cudów: cała gotówka, jaka mu została się po ojcu, została zamieniona na te twory sztuki, których większą część, jakeśmy powiedzieli, stanowiły obrazy. Kosztowało go to 400.000, co podług dzisiejszej wartości pieniędzy na 800.000 franków można liczyć.

Ale cóż za rozkosz będzie dla niego, kiedy powróciwszy do siebie, ujrzy się w swoim zamku, otoczony najdroższemi malowidłami flamandzkiej szkoły i opasany wokoło jak Chiny murem z porcelany. Szczęśliwy Dardennes. Cała jego ambicya ograniczała się kiedyś na posiadaniu dwu dziestu czterech obrazów flamandzkich, a teraz będzie ich mógł dwieście swoim rywalom okazać. Czem była w porównaniu do jego zbioru galerya kardynała Temporani, z którym zrównać się było kiedyś najdroższem jego życzeniem.

Nareszcie kawaler ujrzał swoją ziemię rodzinną. Wszyscy jego przyjaciele zbiegli się, żeby powinszować mu szczęśliwego powrotu do domu, ale pomiędzy nimi nie zjawił się ani jeden krewny, bo wszyscy go unikali, nazywając go kramarzem starzyzny.

Ponieważ w XVIII. wieku takie podróże artystyczne bardzo jeszcze były rzadkie, przy pierwszem pojawieniu się zasypał zaraz kawalera grad różnorodnych pytań o krajach, przez które przejeżdżał.

— Czy to prawda — pytał jeden — że w Holandyi dzwonnice wieżyc kościelnych są na równi z powierzchnią morza?

A kawaler odpowiadał:

— Zaledwie tylko trzech Hans Jordaensów mogłem dostać, ale jeden z nich jest „Piękna kucharka z Gandawy", a drugi „Mała kupcowa ryb". Wszakże to i tak wcale nie źle. Niechno kardynał Temporani pokaże wam takie same.

A inny ciekawie pytał się go:

— Czyliż pan przekonałeś się na własne oczy, panie kawalerze, o tym sławnym porządku Holendrów, którzy zamiatają swoje rzeki, a rynsztoki czyszczą szczotkami?

A kawaler odpowiadał:

— Udało mi się tylko jednego Brenghela aksamitnego nabyć, ale jeżeli się znacie na tem, to powiecie sami, że drugi taki sam egzemplarz jak mój trudno znaleźć. Proszę poszukać coś podobnego w galeryi kardynała Temporani.

— Ale czy prawda jest kawalerze...

— Tak, prawda jest, że moja girlanda kwiatów Segersa kosztowała mnie 13.000 franków, ale sami osądźcie, czyż nie warta tego? Nie ustąpiłbym jej za 40.000 franków, nie, jak Bóg żywy nie ustąpiłbym.

To też z tych wszystkich odpowiedzi można było się przekonać, że co to kawaler najmniej widział i najmniej poznał w całej Hollandyi, to była Holandya.

Cztery salony zaledwie starczyły na pomieszczenie wszystkich jego obrazów flamandzkich.

Kiedy były wszystkie już na miejscu, amatorowie z najdalszych krain przybywali dla oglądania galeryi kawalera Dardennes.

— Jakem dobrze uczynił, żem się nie kierował na radcę parlamentu — mówił on w prostodusznej dumie swojej. — Najlepsza sprawa sądowa nie warta nawet jednego obrazu Vossa, a jednak ja Vossa nie bardzo lubię, bo on jest napuszony, teatralny i zamaczany, jak Vanloo.

Nie pozostawało mu już, jak pędzić spokojnie swoje życie pomiędzy tymi dwoma rzędami cudów, gdyby nie... ale nie wyprzedzajmy wypadków naszego opowiadania.

Pewnego dnia, którego się obawiał, a czekał jednak niecierpliwie, kardynał Temporani przyjechał do kawalera Derdennes, obecnie swojego rywala i powolnym krokiem zaczął przechodzić ową galeryę, tak wielki już w całym kraju mającą rozgłos.

Najciekawszy z tych wszystkich obrazów nie był wcale zawieszony na murach galeryi. Ten, o którym chcemy mówić, oddychał, chodził, patrzał; nawet patrzał bardzo wiele: a był nim sam kardynał Temporani, którego broda i nos orli spuszczony, oparte były na dłoni w pięść złożonej; i kawaler Dardennes, który chodząc krok w krok za kardynałem, to znowu ponieważ był niższego wzrostu od niego, podnosząc głowę a uchylając ciała, żeby widzieć na jego rysach wrażenie przez swoje obrazy flamandzkie zrobione, był sam przepysznym — typem. Ciągle podniecając do pochwał, chociaż bezowocnie jego Eminencyę, zaczepiając go uśmiechem i ubocznemi pochlebstwami, kawaler całą długą godzinę czekał na pierwsze słowo kardynała.

A tak musiał do tego prawie gwałtu użyć.

— No, jakże? czy wasza Eminencya zadowolona?

— No, tak.

— Ale... szczerze?

— No tak, panie kawalerze, zapewne...

— To „zapewne" zaczyna mnie niepokoić... chociaż mam przekonanie, że posiadam najpiękniejszy, najrozmaitszy, najautentyczniejszy zbiór obrazów flamandzkich, które wszystkie prawie są podpisywane przez mistrzów, co je malowali, obrazów, których mogę bez przerwy skreślić całą historyę, wszelkie wypadki i przemiany właścicieli, począwszy od wyjścia ich z pracowni malarza, aż do instalacyi ich u mnie, w tym salonie zaszczyconym obecnością Waszej Eminencyi.

— Niech Pan Bóg uchowa — rzekł kardynał Temporani — żebym w czemkolwiek miał zaprzeczać autentyczności i wartości rzeczywistej pańskich obrazów.

— Jednakowoż wasza Eminencya zdaje się niezupełnie zadowoloną.

— Nie... ale galerya jest wcale piękna...

— Ale mogłaby być piękniejszą, nieprawdaż Wasza Eminencyo?

— Zapewne, panie kawalerze, zapewne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Po raz ósmy stanąć wypada kronikarzowi w wojennym czasie z życzeniami „Wesołych Świąt“, które mają być wstępem do życzeń pomyślności przy zmianie roku.

Wywiązując się z tego miłego, ale trudnego zadania, staje zatem, jako wierny swym zasadom, przyodzian w tę samą szatę godową, co przed ośmiu laty, z tym samym opłatkiem w dłoni i z temi samemi życzeniami, które powtarzał już siedm razy, a obecnie ponawia je po raz ósmy.

Życzy zatem ogółowi P. T. Czytelników, jak i samemu sobie, abyśmy raz wreszcie doczekali błogosławionych skutków światowej wojny, lecz nie w teoryi, ale w praktyce i to w najbliższej już przyszłości, gdyż siedmioletnie czekanie zaczyna już wyczerpywać naszą świętą cierpliwość. Rok temu wstecz pocieszaliśmy się nadzieją, że rok bieżący będzie już stanowczo lepszy od poprzednich, już choćby tylko ze względu na kabalistyczną siódemkę i przypowieść o siedmiu latach chudych, po których nastąpić powinny tłuste. Jak dotąd, to owe chude lata już się spełniły, ale ani rusz nie możemy się doczekać bodajby trochę tylko tłuściejszych. Oczywiście mamy tu na myśli ogół, dla niektórych jednostek bowiem i te poprzednie lata nie należały do najgorszych, nie pragnęły też i nie pragną ich zmiany. Są to jednak wyjątki, stosunkowo dość nieliczne, gdy natomiast olbrzymia większość jęczy, stęka i narzeka na swą dolę, życząc temu, kto wojnę wynalazł, aby z piekła nie wyjrzał. Podobne życzenia kierowane są także pod adresem tych, którzy w tak ponętnych barwach przedstawiali ów raj ziemski, będący następstwem wojny, ale zapomnieli dodać, kiedy on się właściwie zacznie i jak długo potrwa.

Excesarz Wilhelm zapowiadał wprawdzie *urbi et orbi* w roku 1914, że, nim liście z drzew opadną, wojska będą już w domu, pokazało się jednak, iż się nieco przeliczył, od tego bowiem czasu spadły już siedm razy, a o nastaniu stałego i trwałego pokoju ani słychać. Iskierka nadziei zaczyna dopiero teraz wstępować w nasze serca, a to po zawarciu w Waszyngtonie czwórporozumienia, które wprawdzie ma na celu interesy odnośnych państw jedynie na Oceanie Spokojnym, w każdym jednak razie zdaje się wykluczać możliwość wojny, grożącej światu, jak można się było spodziewać, i to już w niedługim czasie. Powiadają ludzie, że każdą spółkę zawiera się w tej myśli, aby jeden wspólnik wykiwał należycie drugiego, gdzie ich jest jednak czterech i jeden drugiemu patrzy na palce, będzie to trudniej. Z drugiej jednak strony niepokoi nas nieco wiadomość, nadchodząca z Londynu, że, po wygładzeniu nierówności, jakie powstały między Anglią a Francyą, w najbliższych dniach ma dojść do skutku spotkanie Brianda z Loydem Georgiem, na którem angielski premier będzie się starał przekonać swego francuskiego kolegę o konieczności zreformowania stosunków ekonomicznych Europy środkowej według projektu przezeń przygotowanego. Dzienniki francuskie zapewniają już dziś, że Briand uzna trafność pomysłów angielskich, ale zastrzeże dla siebie wolną rękę, o ile wchodzić miałyby w grę interesy francuskie. Jak zaś przedstawiają się i jaki skutek odnoszą rozmaite angielskie reformy, o tem, niestety, mieliśmy się już sposobność przekonać na swej własnej skórze. Dwaj inni wspólnicy z czwórporozumienia, to jest Stany Zjednoczone i Japonia w sprawach, dotyczących Europy, w myśl swej dotychczasowej polityki, głosu zapewne nie zabiorą.

Czy się zatem cieszyć mamy z owego zapowiedzianego przez Lloyd'a George'a, „porządkowania ekonomicznych stosunków europejskich na sposób angielski“, to dopiero przyszłość pokaże, zastanawiać się nad tem będzie czas choćby w roku przyszłym w kronice „gwiazdkowej“, w której roztrząsać się będzie to wszystko, co nam przyniesie rok 1922. Jest to zatem muzyka przyszłości, której dźwięków i powabów śmiertelnik, posługujący się oczyma i uszami zwykłemi, a nie duszy, odczuć z góry nie potrafi.

Obowiązkiem kronikarza jest zresztą zajmowanie się teraźniejszością i najbliższą przeszłością, zwłaszcza, że ostatnie numery przeznaczone są na zestawienie całorocznego bilansu, aby bodaj teraz dojść do przekonania, czy się mamy cieszyć, że się rok kończy, czy też żałować, iż był taki krótki. Za tydzień rok 1921, przejdzie z kalendarza do historyi, dziś zatem należy rozpocząć jego nekrolog, jest bowiem o czem pisać. Nasuwa się także mimowoli pytanie jaki będzie następca, ale na nie trudno odpowiedzieć, gdyż pani de Thebes powiększyła już grono aniołków, jej następczyni zaś nie ogłosiła dotąd swych przepowiedni, z powodu zagubienia sennika egipskiego, z którego czerpała swe „jasnowidzenia“. Powiadają także, że podobno jest bardzo zajętą osobą pana Landru, który, jak się pokazało, choć łysy jak kolano, miał przecież bajeczne szczęście do płci nadobnej i to już pełnoletniej, to jest przeważnie po przekroczeniu czterdziestki.

O ile można wierzyć przepowiedniom naszych ojców, którzy według dni od św. Łucyi począwszy, na dniu wigilijnym skończywszy, stawiali horoskopy, jakie będą poszczególne miesiące roku przyszłego, można żywić nadzieję, że pierwsza jego połowa powinnaby być sucha i pogodna, o ile, oczywiście, nie będzie inaczej. W ubiegłym roku prowadził kronikarz podobne zapiski, i przekonał się, że się z nich nic nie spełniło. Obecna pogoda, połączona z prawdziwie kawalerskim mrozem, nie jest zbyt pożądaną, zwłaszcza dla żonatych, nie posiadających węgli w piwnicy.

Rok 1921., który wedle kalendarza Czecha, był „rokiem zwyczajnym i przybyszowym“, składał się, jak każdy inny z 365 dni, miał trzynaście miesięcy (ale tylko dla tych, którzy otrzymali trzynastą gażę...), dla prenumeratorów *Nowości Illustrowanych* zaś pięćdziesiąt trzy tygodnie. Gdy mu się bliżej przypatrzymy, przekonamy się, że suma poprzeczna cyfr jego równa się trzynastce i w tem właśnie leży powód, dlaczego był dla niektórych tak fatalny. Następca wykazuje natomiast przy podobnem obliczeniu czternastkę, ponieważ ta zaś składa się, jak wiadomo, z dwu siódemek, a te szczęście przynoszą, *ergo* rok 1922. powinien być rokiem szczęśliwym, o ile znowu jakieś postronne okoliczności nie wpłyną na to, że będzie inaczej.

Obok daty 1921. widnieją w każdym kalendarzu dwie litery „R. P.“, co różni różnie tłómaczą. Z całego mnóstwa interpelacyi tego skrótu wydaje się nam najodpowiedniejszą ta, która powiada, że czytać go należy: Rok Paskarski. Mniej natomiast podoba nam się wyjaśnienie, że oznacza on: Ręcznych Porachunków, o ile bowiem paskarstwo kwitło w samej rzeczy rok cały, o tyle znów „ręczne porachunki“ weszły w modę dopiero w ostatnich, zimowych miesiącach, być może także i celem rozgrzania się w tani sposób przy braku węgli.

Na ogół nie odpowiedział rok 1921. najskromniejszym nawet wymaganiom, a tu pod każdym względem, nawet pogoda nie dopisała, żadna z pór roku nie dostarczyła nam właściwych sobie przyjemności, a jak rok długi mieliśmy wiatry, jak twierdzą meteorologowie, z powodu nieszczelności naszych granic, jak zaś utrzymuje pewien kucharz, z powodu opłakanych warunków aprowizacyjnych. Wojna wywróciła do góry nogami dawny porządek, w karnawale jedliśmy śledzie — w wielkim poście tańczono do upadłego, w sierpniu pewien obywatel odmroził sobie nos, a w grudniu zrobiło się wszystkim gorąco na wiadomość nadeszłą z Ameryki, że Edison wynalazł sposób przerabiania ołowiu na złoto, gdy mu w ciągu ostatniej wojny lekkomyślnie wystrzelaliśmy tyle tego drogocennego materyału, nie wiedząc o tem, na co się przydać może. Ogólny przewrót widoczny jest także w dziedzinie mody. Nasze „anioły“ noszą się coraz krócej, bez względu na wiek i tuszę, co wprawdzie uplastycznia ich kształty, nieraz jednak daje powód do śmiechu. W przeciwieństwie do nich płeć brzydka odziewa się szatami coraz dłuższemi i obszerniejszemi. Jest to jednak tylko złudzenie optyczne, suknia bowiem jest ta sama, jaką dany osobnik nosi stale od lat szeregu, jedynie to, co się w niej kryje, to jest jego ciało, uległo zmianie. Schudł, jak szczypa i dlatego ubranie wisi na nim jak na kołku i wydaje się zbyt obszerne i długie.

Jak z pogodą i z modą, tak samo było też z polityką. Trzeci rok naszego samoistnego bytu rozpoczęliśmy pod najmiłościwszymi rządami „Paskopiastów“, którzy tak dobrze i skutecznie włodarzyli, że trzeba było na gwałt myśleć o ratunku i to bardzo radykalnym, aby wygrzebać się z błota, w jakiem nas pogrążyła ich egoistyczna gospodarka. O sobie pamiętali, nie zapominali też i o swych krewnych, na ogólne sprawy brakło im natomiast czasu. Zrobili swoje, przeprowadzając reformę agrarną, Bogu dzięki doczekaliśmy się także nareszcie uchwalenia Konstytucyi, która potrzebowała aż trzy lata na to, aby ujrzeć światło dzienne. Po jej uchwaleniu Sejm Ustawodawczy powinien się był rozwiązać, pokazuje się jednak, że ławy poselskie muszą być bardzo wygodne skoro tak trudno rozstać się z niemi (poseł Dąbal dlatego tak niechętnie szedł do kozy...). Nasi wybrańcy odznaczają się dziwną wstrzemięźliwością w mówieniu, nie mieliśmy bowiem dotąd szczęścia usłyszenia publicznie sprawozdania z działalności poselskiej, zwłaszcza naszych panów posłów z piątej listy wyborczej, tak zwanej blokowej, o której *Kuryerek* do niedawna twierdził, że weszły z niej do Sejmu same polityczne zera. Może to zresztą i lepiej, że mało mówią, zato jednak wiele robią. Pan prezydent Federowicz jest ustawicznie w drodze między Warszawą a Krakowem, Stanisław Grabski robi politykę na wielki kamień, Bardel robił na mniejszy ale również skutecznie, wobec czego „ze względu na stan zdrowia“ musiał się usunąć w zacisze życia domowego. Następca jego oficyalnej farby dotąd jeszcze nie puścił, jego przekonania polityczne nie uległy widocznie skrystalizowaniu.

Rok bieżący zaczęliśmy pod znakiem rozrzutności, z groszem nikt się nie liczył, maszyna drukarska biła dzień i noc nowe banknoty, a pomagały jej pokątne fabryczki, prowadzone przez prywatnych przedsiębiorców i rozwijające się bardzo pomyślnie. Kończymy natomiast rok pod znakiem oszczędności, mając już prawie nóż na gardle. Żelazna miotła, śruba i nożyce ministra Michalskiego zaczynają już robić swoje. Zwija się niepotrzebne urzędy, redukuje siły urzędnicze, ogranicza wydatki, przedewszystkiem zaś dba się o zdrowie funkcyonaryuszy tak wojskowych jak i cywilnych, każąc im chodzić piechotą, zamiast dotychczasowego rozbijania się samochodami. Usiłowania jego spotykają się z najrozmaitszemi trudnościami, stwarzanemi przez „patryotycznie usposobione“ stronnictwa i jednostki i, jeśli tak dalej pójdzie w tem tempie, kto doczeka jeszcze stopięćdziesiątej rocznicy urodzin, od bieżącego roku licząc, doczeka też może i powrotu, jeśli nie zupełnie normalnych stosunków, to bodaj takich, iż pudełko zapałek kosztować będzie markę, a nie, jak dziś, piętnaście.

Jak z powyższego widać, jasno jak na dłoni, rok 1921 jest rokiem „na opak“, czemu jednak dziwić się nie można ze względu na ową fatalną trzynastkę. Jedynie to jest w porządku, że, gdy Polska ma być „chłopską“, chłopom w samej rzeczy powodzi się bardzo dobrze, a wraz z nimi wszystkim fizycznie pracującym, gdy natomiast tak zwana inteligencya, stanowiąca dziś prawdziwy proletaryat w najściślejszem tego słowa znaczeniu (sankiloci) odczuwają całą gorycz swej doli i nie mają jej czem osłodzić. Słodzą sobie natomiast żywot wszystkiego rodzaju paskarze, lichwiarze i td., jak o tem świadczy dający się widzieć dwa razy dziennie „słodki ogonek“ przed cukiernią Piaseckiego w Rynku Głównym.

W takich warunkach ani myśli, aby tegoroczny wieczór wigilijny mógł być bodaj w części podobny do przedwojennych. Wprawdzie kilo ryby kosztuje tylko siedmset marek, zatem o połowę mniej niż kronikarz przypuszczał, nie każdy przecież, zwłaszcza przy końcu miesiąca, pozwolić sobie może na podobny wydatek. Co zresztą warta ryba, choćby się nawet i znalazła na czyim stole, jeśli nie ma w czem pływać?... Nie tylko przyjemności sie sprawi, ale narazi zdrowie na szwank, czego, ze względu na strajki aptekarskie i drożyznę łacińskiej kuchni, stanowczo strzedz się należy. Nie będzie także w wigilijny wieczór tradycyjnego lania, aby się dowiedzieć, co nas w roku przyszłym czeka, wosku bowiem zupełny brak, a ołów chowa każdy skrzętnie oczekując chwili, gdy Edison ogłosi przepis, jak go zamienić na złoto. Weronika, nie mogąc się doczekać tego radosnego momentu, postanowiła napisać list do Edisona z prośbą, aby ją raczył poinformować, jak się to robi ów złotodajny *hokus-pokus*, a ona w zamian prześle mu doskonały przepis na babkę lub struclę z makiem, według recepty nieodżałowanej naszej śp. Ćwierciakiewiczowej, jedynej z kobiet, której zasługi literackie ocenia w całej pełni płeć brzydka.

Nie wyklucza to wszystko razem, że nastrój w czasie świąt Bożego Narodzenia będzie na ogół bardzo gorący, aby uzupełnić te braki, jakie dają się odczuwać z powodu drożyzny węgli i innego materyału opałowego. Celem rozgrzania się już na ten tydzień zapowiedziany jest bal, następnie pójdą jeden za drugim, aby miłosiernym nogom dać sposobność do okazania współczucia dla biednych i cierpiących, Kraków bowiem tańczy nie dla przyjemności, lecz aby spełnić swe obowiązki względem tych, którzy czekają na otarcie łez. Kto wie czy na nich nie spotkamy się już z nowymi, modnymi tańcami, *balancello* i polka Criolla, które jak zapewnia *Kuryer*, dają „maximum efektu przy minimum wysiłku“.

Ostateczny rozrachunek z rokiem, właśnie się kończącym, odkładany do następnego numeru, ostatniego w tym roku, a pięćdziesiątego trzeciego z rzędu. Do tego czasu, to jest w ciągu siedmiu dni, mogą nas spotkać najrozmaitsze niespodzianki, zwłaszcza na arenie życia politycznego. Obecnie weszła w modę Irlandya która przeprowadziła swoje żądania, w jej ślady pragnęłyby pójść i rozmaite inne kraje, na razie zaś objawiają tę chęć Chorwacya, Słowaczyzna, Szkocya, no i oczywiście Zachodnia Ukraina.

Podziękowanie.

WP. M. Tillemannowi, specyaliście i wynalazcy opatentowanych bandaży w Krakowie, Zwierzyniecka 4, składam publiczne podziękowanie za zupełne wyleczenie mnie z przestarzałej przepukliny przez nadzwyczaj umiejętne zastosowanie bandażu wynalazku swego i Prof. Dra Raskai'a.

Polecam Go zatem gorąco wszystkim obarczonym wadą przepuklinową, albowiem jego wynalazek przynosi ratunek cierpiącym.

Emanuel Stambułka
właściciel realności
w Krakowie.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego